NA SKALNEM PODHALU

KAZIMIERZ TETMAJER

NA SKALNEM PODHALU

V.

KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO

DRUKARNIA E. I DR. K. KOZIAŃSKICH W KRAKOWIE.

O LUDZKIEJ BIEDZIE

Nie bójze się, hłopce, nie bójze się biédy,
jak cie biéda suko, to cie znajdzie wsendy!...

śpiewał sobie żałośliwym głosem Marcin Mudroń Postrachany, a w takt przykiwywały mu się pomierzwione, jakby powstające ze strachu do góry włosy i wyłupione, szeroko rozwarte, jakby w wiecznem przerażeniu, blado-niebieskie oczy. W takt też kiwała się sucha, kanciasta, wybladła, podłużna twarz, niebywałej chudości, na cienkiej szyi, w takt kiwało sie szczupłe, nikłe, kościane z chudości ciało, ruchliwe i sprężliwe. A kiedy tata tak śpiewał, w takt przyśpiewywały mu dzieci, mała trzyletnia Zosia i mały czteroletni Jaś:

Nie bójze sie, hłopce, nie bójze się biédy,
jak cie biéda suko, to cie znajdzie wsendy!...

piskliwemi, smutnemi, dziecinnemi głosikami. A wtedy w Marcinie Mudroniu ściskało się, krwawiło i płakało serce.

Marcin Mudroń był tak strasznie biedny, że nie tylko w całej wsi, ale w całej okolicy biedniejszego chłopa nie było. A jeszcze mu i baba dzieci nieletnie odumarła.

Marcin Mudroń chodził koło ścian, jak błędny. Chwytał się każdej roboty, byle dzieci wyżywić, jako tako wyżywić, przecie jak w zimie ogrzać. A on sam nie pamiętał takiego dnia, kiedy syty był.

Nie pamiętał takiego dnia, odkąd siebie pamiętał. U rodziców, ba, u dziadków była taka sama bieda, jak u niego.

— Z takiego my jest przeklentego pokolenia! — myślał Marcin Mudroń.

Aż raz, w jesieni, kiedy wicher przez dziury w stancyjce Mudroniowej świstał, w Marcinie Postrachanym zadrgało serce.

Wójt, Mikołaj Cisek, zwołał chłopów na radę; przyszedł Mudroń i pokornie stanął za plecami wszystkich. A było to przed chałupą wójtową, na łączce, po południu w niedzielę.

Wójt, w czarnej bogatej czusze, w nowym kapeluszu z drobnemi kostkami, z ogromną mosiężną spinką z łańcuszkami u koszuli i w pasie na cztery klamry pod same pachy, popatrzył dookoła siebie, chrząknął i tak się ozwał:

— Moji ludkowie! Zawołałek was haw, bo mam wam cosi pedzieć. Jantoni Rymac przed śmierzciom okfiarował krowe, cielnon, piéknom, łacia-

tom, wto urobi Świentego Jantoniego, coby go postawić napośród wsi, haw na brzyzku, nizyl Maciułaska przi Pietrowi przi Pawłoskim. To miejsce sie nieboscykowi nolepsi udawało, a mnie, niby wójta, hagzekutore swojéj wóle obrał. Kie haw Świenty Jantoni stanie, przïwiezie sie ksiendza z miasta, co go poświeńci i bedzie. Nieboscyk Jantoni Paćkora, mam pedzieć Rymac, okfiarował na ten figure Świentego Jantoniego zdatnom jedle we swoim lesie. Juz je nacyhowano. Ten jedle sie zetnie, okrzese i przïwiezie, a jest tu haw wtory pomiendzy wami, coby Świentego wyrzezać zdołał?

Nie odpowiedział nikt. Któżby się był na taką rzecz porywał? Widywali ludzie figury w kościele w Nowym Targu, na odpuście tu i tam, jak gdzie który poszedł, ale jedno rzadko, bo do kościoła bardzo daleko ze śród lasów mieli, drugie patrzał ta chłop i patrzał, ale jak na tego Świętego, czy tę Świętą, a choćby Pana Jezusa i Matkę Boską zrobili, to ani myślał. Była figura — dość.

Milczą tedy wszyscy.

— No — odzywa się wójt po chwili — niémas haw zodnego, coby sie na to podjon?

Nie odpowiedział nikt.

— Krowa — rzekł wójt, — piekna i cielna. A jo som przirucem ku temu dwa korca grul.

Wójt, Mikołaj Cisek, był bardzo bogaty.

— Jo dom barana — ozwał sie jego brat, Jakób Cisek, również bogacz.

— A jo przicyniem korzec owsa! — zawołał Michał Klamkos.

— Jo półkorca jarcu! — krzyknął Jan Niewiara.

— Jo drugie pół! — Kuba Krzysiak.

— Jo prosie! — Michał Malinowski.

— A jo śtuke płótna, bo wiem, ze go ta baba mo!

— Jo dom śrybelnego talara! — zawołał Jasiek Pawlik.

— Je dy to nie ty, jino ten, coś mu wzion! — zadowcipkował któryś, bo Pawlik był znany złodziej.

Zaśmiali się chłopi i mimowoli wszyscy spojrzeli ku staremu Józkowi Harbutowi, o przydomku Młot, najbogatszemu chłopu na okrąg dziesięciu wsi, który nie tylko na wielkim obszarze pola siedział, dwiesta owiec i pięćdziesiąt sztuk hrubego statku chował, ale z pradziada, dziada, ojca i z własnej młodości ze zbójectwa miał mieć beczkę złota w piwnicy, a który, jak wiedziano, to i owo z duszy spłukać pragnął, a przytem pyszny był.

Patrzeli na niego chłopi, nakoniec spytał się Klamkos:

— A wy, Harbut?

— A jo — odpowiedział Harbut, ważąc powoli głos w namyśle, aby nie chybić efektu, ale przejść

wszelkie oczekiwanie, a przytem ofiarę godną siebie Panu Bogu złożyć — jo dom dziesieńć madziarskik dukatuk.

Wszyscy osłupieli. Cisza zapanowała zupełna.

— Ño, wto sie cuje przi siéle? — zapytał wójt.

Jednak nikt nie odpowiadał, nikt się nie czuł przy sile, aż nagle z po za pleców wszystkich drżącym, jakąś jakby rozpaczą wypchniętym z gardła głosem krzyknął Marcin Mudroń:

— Jo!

— Wto? Wto?

— Mudroń! Marcin Mudroń! Postrohany! — odpowiedziano.

— Mudroń! Marcin? — zapytał wójt zdziwiony.

— Jo — odpowiedział Mudroń.

— A zdoles ty?

Mudroniowi nie dwojono, na to był za biedny.

— O! Cozby nie zdolał? — krzyknął Pawlik, któremu Mudronia żal było, że w takiej nędzy żyje, choć go miał za głupca, bo go kilkakrotnie na złodziejstwo napróżno namawiał. — Cozby nie zdolał? Zdole!

— Zdole! zdole! — odezwali się ci i owi. — Déj Mudroń syćko robuje! Za kowala, za budarza, za druciarza! Zrobi!

— No iści, wto mo zarobić, to nolepsi, coby Mudroń zarobiéł — rzekł Klamkos.

— O haj — odparł Jakób Cisek.

— A wy, Harbut, jako padacie?

— Je cozbyk miał padać? Niek urobi, wto fce. Mnie jedność. Temu, cy drugiemu dam. Jak Mudroń sprawi, to jego.

— No to wiés — powiada mu wójt — jutro jedle zetniemé. A kaz wolis robić? U mnie, cy przi swojej hałupie?

— O hań, przi hałupie, przi dzieciak — odpowiedział Mudroń.

Chłopi byli radzi. Najpierw radzi byli, że najbiedniejszy i to jeszcze taki strasecny biedak się wspomoże, powtóre, że taki, co mu i zazdrościć niéma co, a nakoniec, że wierzyli w Mudroniowe talenty. Przytem radzi byli, że się u nich, we własnej wsi taki znalazł, co taką rzecz sprawi, że nie trza po inyk wsiak o takiego pytać, albo aż w mieście, w Nowym Targu, majstra szukać.

— He, Mudroń biédok, ale głowe mo! — mówił Michał Klamkos.

— Biéda go wyucyła na sytko! — mówił Jakób Cisek.

— Na syćkie sposoby!

— Ej, hłopie, ale ono go wej onacyło, onacyło! Od malućka! Déj go przecie bacem. Mnie jus béło na śternosty, kie on taki hłopcyk w kosulce ganiał, gaci, przepytujem, mu nie syli, bo nie béło s cego, a kie mu w powietrze moskola kuścik, abo grule warzonom rucili, to tak w powietrzu dopad, jak pies. Bo to straśnie głodne a biédne béło.

— No, ale sie teroz sprości! To sytko nic. Ale za te dziesieńć dukatów Harbutowyk to se i pola kupić moze.

— Ze ba jako?! Kupi! Jesce i kęs!

— Skońcéła sie Mudroniowa biéda.

— Zje dy dobrze.

— To nic, jino Pombóg nieboscyka Rymaca tak wej nadethnon.

— Moze? A to wiécie i Harbut dobrze robiéł, co zbijał, bo kieby niémiał, toby niedał.

— Sprawiedliwie padacie. Juści widno Pana Boska Opatrzność ku temu wiedła. Kieby Harbut nie kradał, cozby biédnemu dał? Kradnij, ale dej! Takie jest Boskie prawo.

— A bo wiera takie!

A Marcin Mudroń chodził jakby w zalśnieniu, jakby w tumanie złotym.

Krowa, cielę, dwa korce grul, baran, korzec owsa, dwa po półkorca jarcu, prosię, sztuka płótna, talar i — Marcin Mudroń sam przed sobą nawet prawie wymówić nieśmiał — dziesięć Harbutowych dukatów! Dziesięć dukatów! Madziarskich dukatów!

Mudroń nigdy śrybelnego talara, nie dopiero złotego dukata nie widział — a miał takich dziesięć mieć!... Dziesięć mieć!..

Kiedy przyszedł do domu, Jaś i Zosia siedzieli na progu.

— Dzieci! — krzyknął Mudroń. — Beemy mieć

krowe, ciele, barana, prosie, dwa korce grul, korzec owsa, dwa po półkorca jarcu, śtuke płótna, śrybelny talar i dziesieńć madziarskik Harbutowyk dukatów! Dzieci!

Ale dzieci nie rozumiały nic. Pierwsza Zosia zapytała:

— Co beemy mieć?

Ale Mudroń jej już nie powtórzył, co będą mieli, tylko porwał ją na jedną rękę, Jasia na drugą i zaczął to jedno, to drugie całować i przyciskać do twarzy, nakoniec z nieopanowanej radości obrócił się z dziećmi na pięcie i zakrzyczał głośno:

Powiadajom na mnie, co jo niémom pola!
Na Cyrwonym Wirhu połówecka moja!

I zaczął się śmiać, tupać nogami, podrygiwać, potrząsać głową, aż się Jaś roześmiał, a Zosia, przestraszona, rozpłakała.

Mudroń rzucił się na pościel, jak pijany, nic nie zważał, że na wieczerzę zjadł jeden zimny ziemniak, bo więcej dla niego niebyło. A w nocy śniło mu się, że koło niego tak olbrzymie karpiele rosną, że na szczudłach po nich musi chodzić, takich, na jakich za dawnych czasów, jak ojcowie opowiadali, od osady do osady ludzie chadzowali, bo jeden mieszkał haw, a drugi o mile.

I rano jeszcze taki wesoły się obudził. Jakoś nie zastanawiał się nad tem, jaką to robotę podjął?

Huczało mu w głowie to bogactwo, które miał dostać, po za tem na nic miejsca w głowie niemiał.

Chodził, jak błędny koło chałupy, nie jadł nic, ledwo tylko zbaczył sobie i dzieciom dać pośniadać.

Nagle przed południem para gniadych wójtowych koni zajechała: na przedniej i na zadniej karze łańcuchami upięty przyjechał okrzesany tram jodłowy Świętego Antoniego.

— Biercie sie zaroz do roboty — mówił parobek wójtów, zrzucając drzewo przed izbą Mudroniową. — Wójt kozeli pedzieć, coby to wartko béło.

— Bedzie — odpowiedział Mudroń.

Parobek spiął łańcuchami kary, skoczył na siodłowego, śmignął po naręcznym biczem i ruszył kłusem. Głośno się rozległo jego:

Skondze idzies, hłopce? Z doliny od koni,
hoćby ed dziéwcyny — e! wtoz mi zabroni?! Hej ha!

Przyszedł Jaś i przyszła Zosia i stanęli z ponad klocem jodłowym. Stanął nad nim także Marcin.

Kloc był ogromny, okrzesany, biały, świeży, pachnący. I dziwnie martwy. Marcin tyle takich kloców przy budowie widział, tyle się w lesie u ludzi przy drzewie narobił — nigdy nie odebrał

tego wrażenia martwoty ze ściętego, okrzesanego. białego pnia, jak teraz.

Chciał go ruszyć nogą, ale się wstrzymał — miał to być przecie Święty Antoni. Dotknął go ręką — kłat wydawał się Marcinowi zimniejszy, niż wszystkie, których dotychczas dotykał.

Zdjął go jakiś zabobonny lęk, przeszedł nawet dreszcz.

— Niémas dziwoty nijakiéj — pomyślał — dy to przecie Świenty...

Patrzał Marcin Mudroń na kloc, a przypominał sobie, gdzie jaką świętą figurę w kościele widział?

A zdaleka, zdaleka zagrało jeszcze w echu parobkowskie:

Ani tak nie jidzie austryjacki Dónaj,
jako dziéwce jidzie, kie jom wiedzie śuhaj! Hej ha!...

— Wiera! Temu hań dobrze! — mruknął sam do siebie Mudroń.

A Jaś i Zosia patrzyli na jodłę nieruchomi, aż Jaś zapytał:

— Tato? Co to?

— Świenty be — odpowiedział Mudroń.

— A Świenty co?

— Świenty, dziecko, to Świenty.

— A — rzekł Jaś z przekonaniem.

— Tato! — odezwała się Zosia.

— Co dzicie?

— Jeść.

Jeść. A tu w izbie niebyło nic. Warzyło się parę grul na obiad, ale jeszcze surowe były. A zresztą niebyło nic.

Porwał Marcin Mudroń Zosię na ręce, przycisnął do siebie, a gorące łzy trysnęły mu z oczu.

— O moje biédarstwo! O moja bogacko! — mówił łkając. — Wiés, w tym haw kłocie jedlowym majontek lezy! Jus niebe Zosia nigda głodna, niebe jéj nigda ziuziu, niebe nigda nieodziata! Nigda! Nigda! Nigda!

I zanosił się od płaczu z bólu nad nędzą swych dzieci, rozrzewnienia na myśl o tych dostatkach, któremi je otoczy.

— Tato płako — zauważył Jaś.

— Płako — powtórzyła Zosia.

A Mudroń postawił Zosię na ziemi, skoczył do izby, wygrzebał gdzieś suchy ułomek moskola, wraził jej w garść i począł dalej patrzeć na kloc jodłowy.

Patrzał, patrzał i nic nie widział... Kieby jesce tén parobek zaśpiéwał!... Póki głos choć zdaleka dolatał, nie czuł się Marcin tak samotnym z tym Świętym, śpiącym w jodłowem drzewie.

— On hań jest, Świenty Jantoni, ale jako go dostać?

He, niebees ś nim jinacyl robiéł, jino jako ze złobe, cy z ławom popod ściane... Trza wymiérzać i rób...

Ba — ale jak?

Złób to złób, a ława to ława... Ale haw trza głowe, rence, nogi wyrzezać... Trza sprawić ocy, nos, gembe... A jesce to nie tak, ale u Świentéj osoby... I kieby to ta jesce taki Świenty nie taki, ale to ze samego pirsego końca Świentyk, ze samego przodka... To telo, co Świenty Jan, bez mała co i Świenty Józef.

I padł Marcin Mudroń na kolana, prasnął kapelusz z głowy, przeżegnał się i począł się modlić na głos: Panie Jezu, Ojce świata, dej cobyk przecie tego Świentego Jantoniego z téj jedle wykrzesał, i Ty, Świenty Jantoni, patrónie złodzieji, dospomóz, cobyk Cie przecie telo doprawdziéł, coby kozdy doświadcéł, ześ to wiera Ty sam, a nie wtory jiny, Jacenty, cy Bartłomiéń. Jamen! Jamen! Jamen!

Poczem wstał, odgarnął z czoła włosy i szepcąc: nie Świenci gorki lepiom, ba zduny — poszedł do izby po cieślicę, po świder, po młotek, piłę, po cały sprzęt, jaki miał, bo sam nie wiedział, co mu do tej roboty może być potrzebne.

I jakieś wiedzenie weń weszło, snadź Pan Jezus i Świenty Jantoni wysłuchali jego modlitwy, bo począł krzesać.

Na obiad tylko tyle, co skoczył grule odcedzić i dzieciom dał, sam ledwie co do ust włożywszy, a zresztą krzesał, odrzynał piłą, mierzył i karbował, do zachodu słonka.

Zmordowany, dorobiony. zziajany rzucił się na pościel, czyli to, co się pościelą nazywało.

— Dawitna bo dawitna ta robota, ale donośny koń kazdom, i nocienzejsom fure siana rusy... A pote kie musis, to musis...

Jaś i Zosia spali przytuleni do siebie. Jaś usnął z nadgryzionym ziemniakiem w małej rączce. Skulone dzieci leżały pod lichą płachtą, noc była zimna.

Zdjął ze siebie Marcin Mudroń czuchę, krótką, białą czuchę, gdyż się czem innem nieokrywał, bo niebyło, i przyrzucił nią dzieci.

Został w serdaku.

Ale potem zdjął ostrożnie, delikatnie czuszkę z dzieci, a przykrył je serdakiem, żeby im cieplej było pod wełną.

Zaczęło mu się dopiero drzemać, kiedy słyszy, dzieci się ruszają.

— Jasiu! — szepce Zosia.

Jaś śpi.

— Jasiu! — szepce Zosia głośniej.

— Co? — obudził się Jaś.

— Dejze mi ten grulecte, co jom w rency trzimies.

— Dobrze, ne...

— A jo ci dom ś niej połowecte...

— Dobrze, dej..

Marcin Mudroń zatkał uszy dłoniami i obrócił twarz ku barłogowi, ku ziemi.

— Serce! Strzim! Serce! Strzim! — jęczał Marcin Mudroń w sobie.

Usnął twardo, nie śniło mu się nic, obudził się przed świtaniem, klęknął, pacierz zmówił, obmył się przed izbą, z garka zimnego ziemniaka z wczorajsza wyłowił, delikatnie z dzieci serdak zdjął, bo zimno było jeszcze na polu, a czuchą je znowu przyodział, z okrzesów z jodły ogień rozniecił i śniadanie nastawił i zaraz do roboty wyszedł.

Kloc mokry od rosy porannej szarzał w mroku i w mgle. Mgła gęsta przyległa okolicę, na deszcz. który już nawet siompił.

Ale Marcin nie zważał na to. Ujął cieślicę i dalej, podług znaków wywiertanych świdrem, krzesać począł.

Siompawica poranna poczęła się powoli, jak to zwykle bywa, przemieniać w lić; puściła się ulewa. Ale Mudroń pracował dalej.

Aż ukazał się w progu Jaś w koszulinie i począł wołać:

— Tato! Tato! Telo dysc rumoli! Pociez do izby!

A za nim wychyliła główkę Zosia i zawołała:

— Tato! Telo lumoli! Pocie!

Ale Marcin tylko się uśmiechnął do dzieci i kiwnął ku nim ręką, na znak, aby się cofnęły z progu. Krzesał, a modlił się do Świętego Antoniego, żeby ta lejba ustała przecie jako. I od południa

nagle wiatr rozgonił chmury i słońce wyjawiło się na niebo.

Wielka, ogromna radość i otucha wstąpiły w serce Marcina. Ozgajdało się, słonko wysło, Święty wysłuchał jego prośby i upytał Pana Boskom Moc o pogodę.

Choć cały ciekący od wody, rzezał i piłował Marcin teraz z podwójną siłą i energią. Już poczęło się wyłaniać to, co mu się przedstawiało jako głowa Świętego.

I zeszedł jeszcze dzień jeden i drugi, aż pod noc, na czwarty dzień od zaczęcia roboty, Święty Antoni wydał się Mudroniowi skończonym. Trza go było pomalować, a to już będzie łatwo. Włosy na żółto, brwi na czarno, oczy na niebiesko, twarz na różowo, usta na czerwono, odzienie na czarno, ręce i nogi na biało. Zaraz rano po pieniądze na farby do wójta pójdzie i, przygotowawszy dzieciom strawę, do miasta po nie poleci.

Tej nocy miał Marcin Mudroń śliczny sen. Zdawało mu się, że Święty Antoni przez łąkę jasną, zieloną, pełną kwiatów, jak na wiosnę bywuje, szedł i dwoje jego dzieci za ręce prowadził. Jasia po prawej stronie, Zosię po lewej. Dzieci się do niego uśmiechały, a on, co je z ręki puścił, to je po głowach pogładził. Słońce takie jasne świeciło, jakiego Marcin nigdy nie widział. Była to niedziela cicha i pogodna, a kwitnąca kwiatami. Szedł Święty Antoni z dziećmi Mudronia przez łąkę co-

raz dalej, coraz dalej, aż w jakiś obłok złocisty począł z niemi wnikać, aż zniknął.

Obudził się Marcin Mudroń pełen rzeźwości i wesela. Nauczywszy dzieci, aby od izby nie odchodziły i gdzie jeść mają nagotowione, poszedł do wójta.

Wójt się prawie na oborze kręcił.

— Nieg bedzie pokfalony! — ozwał się Mudroń, zdejmując pokornie kapelusz.

— Na wieki wieków! Je cos ta? — zapytał wójt wyniośle.

— Świenty gotowy. Sełbyk na farby w Nowy Targ.

— E wiera! Cysto piékniejek o farbuk zabacył! Kielo to trza?

— Cy jo wiem? Trza farby zółtéj, cornéj, biołéj, niebieskiéj, cyrwonéj i rózanej. Sześci farbów trza.

— Ale moc?

— Je ta jino jacy cornéj, na odzienie.

Wójt sięgnął za pas, dobył trzy cwancygiery, dał Marcinowi i rzekł:

— No to léć! A jak co zwysys, to oddaj!

— Tak bedzie! Ostańcie s Pane Boge! — odpowiedział Marcin, ukłonił się wójtowi nizko i ruszył przed się.

Nakupił farb, jakich trzeba było, głód mu kiszki kręcał, ale sobie z domu zapomniał jedzenia wziąć, a choć cwancygiera i trzynaście grajcarzy

zwyższył, nieśmiał pieniędzy wójtowych ruszyć. Ale w mieście było tyle obwarzanków, pierników, cukierków dla dzieci!... W samym tym sklepie, gdzie na farby był... Trzy razy Mudroń Szaflarską ulicą wychodził i trzy razy wracał... Nakoniec niemógł się przewalczyć, niemógł się przełamać — — kupił dzieciom cukierków za dwa dudki wójtowe.

Postanowił to powiedzieć wójtowi i że mu wróci z zarobku ze Świętego. Postanawiał to całą drogę, a gdy znowu na oborze wójtowej przed wójtem popołudniu stanął, brakło mu odwagi.

Wójt się farbom przypatrzył, pokiwał głową, odebrał resztę pieniędzy, cwancygiera, štyry dudki i grajcar, ale widząc dziwne pomieszanie Mudronia, zapytał podejrzliwie:

— Kieloś dał?

— Dwa cwancygiery — zawahał się Mudroń — osiem dudków i glajcarz.

— Nie cyganis?

— Nié.

— Jo sie ta dowiem u La-ura na drugi pendziałek, w jarmak — rzekł wójt.

Mudroń zadrżał w sobie, ale pomyślał szybko: do drugiego poniedziałku on będzie miał pieniądze za Świętego Antoniego, wójtowi wróci dwa dudki, a jeszcze mu piwa na tym jarmarku kupi, to się zagodzi.

— No idź — odezwał się wójt wyniośle i odwrócił się z poleceniem do parobka.

— S Pane Boge ostańcie! — bąknął Mudroń nieśmiało.

— Boze cie prowadz!

Nie! Nie!... Jak to Zosia wyciągnie obie rączki do tych cukierków, jak się to Jaś do nich roześmieje!... Nie, nie — — niech ta juz bedzie co fce, lepiej zrobił, że kupił...

Nie ukradł, ino pożyczył... Wróci... Jeszcze wójtowi piwa kupi... To tak, jakby z lichwą wrócił, a jeszcze s kielom!

I wyciągnęła Zosia rączki do cukierków i ośmiał się do nich Jaś.

— Doble — mówiła Zosia.

— Słodkie — mówił Jaś.

— Tato, to cutielti? — pytała Zosia.

— Cy sie to sieje i pote rośnie? — pytał Jaś.

A Mudroń im dawał, dawał, aż już nic w papierze niebyło.

— Niéma wiencyl? — spytała się Zosia.

— Tato, dejciez jesce! — prosił Jaś.

A kiedy Mudroń poszedł do sąsiada garnków parę pożyczyć na gotowanie farb — „niema wiencyl!“ — mówiła smutno Zosia, zaś Jaś rozumował: trza béło dwa, abo seś zasiać, toby béły na drugom wiesne urosły...

Mudroń wrócił z garnkami, ugotował farb i nazajutrz od rana malował przez cały dzień Świę-

tego Antoniego. Na szczęście pogoda była śliczna i trwała i Święty mógł schnąć i na polu.

Nakoniec nadszedł ten dzień, kiedy figura wyschła do znaku i wówczas Mudroń udał się do wójta donieść, że skończył. Było to we środę. Nazajutrz było święto we czwartek i wójt obiecał przyjść obejrzeć Świętego.

Jakoż po południu w towarzystwie najdostojniejszych gospodarzy wkroczył wójt w obejście Marcina Mudronia. Kloc, wyobrażający Świętego, wykrzesany w jodle, stał podźwignięty na okrągłej podstawie, którą mu Mudroń umyślnie sporządził.

Popatrzał wójt, popatrzeli inni chłopi i nagle ogromny, niepohamowany śmiech wybuchnął z ich szerokich piersi ponad błyszczącemi od mosiężnych klamer pasami. Śmiali się, którzy przyszli, Ciskowie ,Klamkosy, Harbuty, śmiali się długo, głośno, rozlegle. A z poza progu izby, z za uchylonych drzwi wyjrzeli ku nim przerażeni i zadziwieni Jaś i Zosia i skryli się napowrót.

Kiedy się gazdowie nareszcie naśmiali do syta i pasów poprawili, zapytał wójt stojącego pod figurą bladego, jak trup, Mudronia:

— Coz to?

Mudroń; gdy gazdowie zaczęli się śmiać, z początku nic nie rozumiał; pierwsze wybuchy śmiechu nawet wziął za oznaki zadowolenia. Ale teraz już zrozumiał dokładnie.

— Coz to jest?! — zapytał wójt.

Naprzeciwko wspaniałych, potężnych, dobrze uchowanych gazdów, pod wysoką figurą Świętego Antoniego stał mały, hudy, nędzny Mudroń i dygotał na całem ciele.

— Co to ma być?! — powtórzył poraz trzeci groźnie zapytanie wójt Cisek.

Mudroń chciał się odezwać, ale mu głos zawiązgł w gardle; mrałknął coś tylko, jak niemowa.

— Coześ zapisnon, cy co? — zawołał wójt z pasyą. — Gadoj! Co je to jest?

— Świenty Jantoni — wybełkotał Mudroń.

— Jedlowy kłot pomalowany, nie Świenty Jantoni, psiawiaro jedna! — huknął wójt. — Ka piniondze, co jek ci dał na farby?! Co?! To jek ci na to dał, cobyś jedlowe kłoty ś niemi farbił, co?!

Mudroń trząsł się i kurczył pod gniewem wójtowym.

— Jedle Rymacowom het zmarnił! — ozwał się brat wójta, Jakób Cisek.

— Ten, co jom nieboscyk na Świentego okfiarował! — zawołał Klamkos.

— Po coś sie poruwał na to, kie tej robocie nie rozumiés?! — krzyknął Malinowski.

— Basarkania! Pytał cię wto o to?! — zawołał Krzysiak ze złością.

— Haj! Haj! Pytali my cie, ty gałganie, lotrze, faktorze koński, ty pusta łeb?! — huczeli chłopi.

Marcin Mudroń drżał i myślał, że go będą bić. To ci sami, co tak chętnie ofiarowywali owsa, jarcu, prosię, barana. Mudroń spojrzał ku Harbutowi, bo i on przyszedł, spojrzał ku niemu błagalnie, rozpaczliwie, jak kot, którego chłopaki psom chcą rzucić, patrzy na starsze osoby — Harbut się nieśmiał za innymi. Ale Harbut splunął tfy! machnął ręką, odwrócił się i odszedł.

— Coz bedzie? — ozwał się Jakób Cisek.

— Cozby béło? — odpowiedział mu brat wójt. — Mudroń jedle zapłaci, piniondze za farby mnie wróci, zetnie sie jinom jedle w Rymacowym lesie i da sie do miasta Świentego zrobić. To musi być! To świente!

— Świente! Musi być! — zawołali chłopi. — Wola nieboscykowo! Świento rzec!

— Haj, haj! Wola nieboscykowo! W destamencie stoji!

Mudroń patrzał to na gazdów, to na Świentego Antoniego i świat mu się zawracał w głowie. Wreszcie jęknął:

— Jakos ja jom zapłacem? S cego?

Nie wzruszyły się chłopskie serca, ale zastanowiły się ich mózgi.

— No juści prowda — rzakł Klamkos — s cegoz on zapłaci, kie je dziod?

— No haj — przytwierdził Krzysiak.

A wtedy wójt, Mikołaj Cisek, oświadczył wspaniale:

— To nic. On to odrobi u mnie przi tyk dutkak, co ś niemi na farby poseł. Bo hoćbyś mu fciał co wziąść, coz mu weźnies? A teroz bydź zdrów, dziadu! Skoda haw dłuzy i stać!

Wtem wysunęła się z za węgła chałupy Zosia z cukierkiem, z jakimś gdzieś zawieruszonym i na nieszczęście znalezionym, w buzi.

Wójt dojrzał dziecko i cukierek i wskazał ręką obecnym.

— Icie, hłopi — rzekł — Mudroń biédok, biédok, a jego dzieci cukierki zrejom.

— He — zwrócił się nagle ku Mudroniowi, jakby mu coś w głowie zaświeciło — he! Cy to pote nie od farbuk?

Mudroń zmartwiał.

— Icie, jako zmiértwiał?! — wołał dalej wójt. — Gadoj, skondeś na cukierki lo dziecysków wzion?

Mudroń milczał.

— No — skond?! Ehe! Od farbuk? Psiakryda jedna! Kieloś ukrod, co?!

Nagle z niewiadomej przyczyny wójt stał się jeszcze wspanialszy, niż był zazwyczaj. Przestał krzyczeć i rzekł z potęgą:

— No kieloś ukrod, to twoje. Jino mi juz nie przihodź do roboty odrobiać nic, cobyś co jesce wiencyl nie zajon.

Naówczas Mudroń rzucił mu się do nóg.

— Panie wójcie, panie wójcie! — skomlał. — Panie wójcie! Na rany Boskie! Nicek nie wzion,

jino dwa dudki... Dwa dudki jino... Dydziek sie przecie spodziwoł mieć s cego wrócić!... Nieg mi darujom, nieg sie nie gniwajom! Dy moje dzieci nigda cukierków w gembie nimiały jesce, telo jino, co u inyk dzieci widowały... Panie wójcie! Nieg mi przebacom! Dyjek jo nigda złodzieje nie béł, ani nie bedem!... Trzi razy jek z miasta wyseł, kimek té cukierki kupiéł... Panie wójcie! Dyj majom dzieci, to wiedzom, jako to!... Dziecko i dziecko... Déj byś mu krew z pod serca dał... Krew z pod serca samego! Panie wójcie!... Jo té dwa dudki dubelt telo odrobiem...

Ale wójt z niesmakiem i wzgardliwością się odwrócił, a za nim odwrócili się inni, jak to za wirnością. A Klamkos mruczał z oburzeniem:

— Kieby jesce na hlib, ale na cukierki!...

Odeszli.

A Mudroń został przy jedlowym kłacie klęczący. Wysunęły się z za drzwi dzieci, przybliżyły się ku niemu. On klęczał z włosami postrachanemi, ze zwieszoną głową, zaplótłszy palec od prawej rency na palec od lawej rency poniżej brzucha, przy ziemi.

Klęczał tak, długo, aż się ozwał Jaś:

— Tato!

— Co?

— Ci hłopi telo wom cosi nadrumkali!

— Telo wom nadrumtali! — powtórzyła Zosia.

Marcin Mudroń oszalał. Jak był, bez kapelusza,

bez czuchy, nie oglądając się na dzieci, począł uciekać od chałupy, biec przed siebie, w las. Pędził coraz dalej, coraz głębiej, pod górę, z góry na dół, przez potoki, przez żleby, przez wykroty, nie patrzał, czy štyrbno, czy połogo, gnał coraz dalej i dalej. A za nim przez potoki, żleby i wykroty gnała żałość, gnała boleść i rozpacz. Znowu dalej go będą kopać i poniewierać, że dziad, znowu dalej przed wójtową wirnością, przed Harbutowem bogactwem będzie się musiał osplascać, jak głodny pies przed swoim panem, dalej głód, nędza i ziomb będą go gryzły, wiecznie już, wiecznie, do końca ta okropna trwoga o każde jutro, o każdy dzień... I te upokorzenia straszne! Te obchodzenie chałup, to zaglądanie, czy gdzie niema roboty jakiej, to wicie się u nóg ludzkich, to przyleganie do nóg, byle tylko wyżyć, byle nie zdechnąć i z dziećmi... A dzieci, dzieci! Te najnędzniejsze, najbrudniejsze, najuboższe dzieci we wsi, nigdy nie syte, nigdy nie odziate, jak się patrzy, zawsze smutne dzieci!... Odepchnięcie, poniewierka, pogarda, wstręt innych dzieci wsiańskich! Dzieci jego, dzieci!...

I teraz nadal czy on robotę jaką znajdzie? Czy może o jakiej nawet myśleć? Zaufanie do siebie zwalił, złodziejem został, wiarę w siebie zakopał w ziem, w ziem! Tyle przynajmniej o nim mówili: Postrohany biédny, ale ci ani cencki nie ukradnie! A teraz...

— No to jek sie juz skońcéł — szepnął zapiekłemi wargami. — Od teraźnia jus po mnie, a i po dzieciak... Poniewiérała mie biéda, teroz mie be poniéwiérać i poniewiérka ludzko... Juz sie sytko załomiło nademnom... ani ziemie pod mojemi nogami... Zginonek z dusom i z ciałe...

Czy się ze skały ka w żleb, w rumowisko prasnąć?...

Ale hań dzieci, Jaś i Zosia, obidwa...

Takie małe, takie głodne, takie same, nieszczęśliwe, opuszczone... Jaś i Zosia... Jakoz sie to wyhowo? Ka sie to podzieje? Po pytaniu nie pudzie, bo małe, jesce i to zima hnet... Ludze tego do siebie nie weznom, a jakby wzieni!... Jezus Maryo! Dyj by zakopali, zabili, doponiewierali tak, co raty na świecie! Dyj by sie to zapłakało, łzami zadawiło, byj by to pomarło! O Boze, Boze!...

I hań w izbie siedzom same, samiućkie, małe, głodne, zmarznione i płaćom i krzicom: tata! tata!

Kanyzek jest?

He! Kiele jek dale od hałupy! Dydzieg pod Wantom! A wtorendejek leciał, ani niewiem!

I wziął się Marcin Mudroń ku domowi, ku wsi, wprost przez lasy, na łeb na szyję.

Przyleciał już późno w nocy, prawie ku raniu. Wpadł do izby. Dzieci wewlekły na się ojcową czuchę i spały — nie na łóżku, ale na gołej podłodze w kącie, przytulone do siebie ze strachu,

jedno przy drugiem, że ani byś szpilki nie wraził między nie.

Marcin Mudroń popatrzył na nie — szarzało już w izbie.

A potem gruchnął na kolana z jękiem: Panie Jezu, Ojce świata, Noświentsa Panno Maryjo i Ty, Świenty Jantoni, patrónie złodzieji, dospomózciez mi! Dospomózciez mi! Dospomózciez mi! Na té dzieci moje Wos zaklinom hań śpionce! Na té dzieci moje!

I zerwał się z podłogi, chwycił narzędzia ciesielskie i skoczył ku figurze Świętego Antoniego. Nowa wiara, nowa siła weń wstąpiła. Już wiedział, co było źle, co trzeba poprawić. Nic to, że farby popsuje — jak zobaczą, że je dobrze wyrzezany, to juz bedzie! Pawlik mu na farby da, Pawlik...

W Pawlika wierzył. Nie przyszedł on oglądać Świętego Antoniego, bo go wójt nie zawołał.

— He! — myślał Mudroń. — Pawlik, ze jino pierze babom, prosie ka na Jarmaku, spyrke ka gazdowi z kumory ukrod, to go nie wołali — a Harbut, co po Luptowie zbijał — gazda!... Tak to wej, tak...

I krzesał. Od nowa. Od cała... W klocu drewnianym w natchnieniu jakiemś począł wykuwać ludzkie ciało, począł je czuć pod ręką... Dłutem je wystrugiwał, nożem ostrym wypęczniał... I jakiś jakby las świętych zamajaczył przed nim... Las

drzew, las jodeł hrubych, starodawnych, a w każdej święty święty zaklęty jak żywy... A za sytkie te jedle po dziesięć madziarskich dukatów...

Nagle zamroczyło mu się w oczach, w mózgu...

Otwarł oczy — wznak był twarzą ku słońcu, które dopiero co wstało, głową na mokrej trawie pod figurą Świętego...

Otwarł oczy — wznak był twarzą ku słońcu, które już było na niebie, na mokrej trawie pod figurą... Dzieci były przy nim...

Otwarł oczy — wznak był twarzą ku słońcu, Zosia stała mu wedle boku z palcem w buzi, a Jaś siedział tuż przy nim z brodą opartą na rękach i patrzał nań wielkiemi oczyma.

I usłyszał Mudroń, jak Jaś się pyta:

Tato, śpicie? Nie śpicie jus?

I znów otwarł oczy. Słońce było prawie w tem samem miejscu, co przedtem, trawa pod głową suchsza, mała Zosia dotykała mu rączką twarzy, płacząc pewno z głodu, a Jaś siedział nad nim, jak pierwej, nieruchomy, z brodą opartą na rękach i wpatrywał się weń wielkiemi oczyma.

— Konam — przemknęło Mudroniowi przez mózg.

Zląkł się straszliwie, chciał się podnieść, dźwignąć na łokciach — ale ciemno stało mu się w oczach.

Potem usłyszał, ale Jaś dziwnie cicho mówił, snadź do kogoś: Tata lezom i śpiom, od rania...

Zosia płakała.

Kaz tyn Świenty Jantoni, coby dzieci na ten hań kwitnoncom łonke wiód?... Za roncycki... Po lewej stronie Zosia, po prawej Jaś... W ten niedziele... We złotom gme... Kajsi het... W radość...

— Serce w nim pukło — poznał nad sobą niezmiernie cichy Pawlika głos.

A potem stało się w Marcinie Mudroniu zupełnie cicho.

SZKIC OPOWIEŚCI O ZWYRTAŁOWI MUZYCE
(O ZWYRTALE MUZYKANCIE)

Umarł stary Zwyrtała i dusza jego wybrała się do nieba, z bausami na gębie i ze skrzypcami pod pazuchą.

Patrzy: zamknione.

Myśli se: burzył na dźwierzak niebees, bo śpiom. Siadł na słupek popod bramą, siedzi, ale mu się ukotwiło wnet, wyjął skrzypce z pod pazuchy, przycisnął zębami kołki, brząknął na strunach, wsparł skrzypce pod lewe ramię, pociągnął smyczkiem. Zrazu cichutko. bo sie bał obudzić, ale się zagrał, przycisnął mocniej: A jak sobie przygrał. wspomniał sobie babe. co ostała na ziemi. a jak sobie babę wspomniał, zaraz zaśpiewał:

> **Bodaj sie świeńciła kawalerska strona!**
> **Kany sie obeźrem, wsęndyl moja zona!...**

Jak zaśpiewał, a głośno, usłyszał z za bramy:

— Któż tam?

— Świenty Pieter — pomyślał Zwyrtała, ale odpowiedział śmiało, bo za cysarki za Tereski raj-

tary go do kilysjeruk zabrały i dwenast rók hań służéł:

— Jo!

— Jaki „jo“?

— Zwyrtała.

— Czego się drzesz?

— Nie drem się nijako, jinok śpiéwał.

— Bodaj cie dyab — (urwało się) — z takiem śpiewaniem! A coś tak późno przyszedł?

— Jedżek ta cosi unieskorzéł, alejek dopiéro pod odwiecerz umar.

— Pod wieczór?! Toś dopiero w pół drogi powinien być!

— He, Świenty Pietrze, jo wartki, górol.

— A skądżeś ty?

— Z gór.

— Od Nowego Targu?

— Haj.

— A z jakiej wsi?

— E hoć wom powiem, to i tak niebeecie wiedzieć. Cy to hań znocie?

— Ja wszystko znam. Zkądeś?

— Z Muru.

— Jako cię to piszą?

— Galica Maciek.

— A jak cię wołają?

— Zwyrtała.

— A do was się jak nazywa?

— Do Sęcka.

— No to siédże tam, Sęcku, nim się zrobi dzień. A nie trza hałasić!

— Nie bedem. Miéjcie dobrom noc!

— No, no! A cicho!

Usiedział chwilę cichutko Zwyrtała, ale ku raniu trochę ziąb brał, choć to było w samo lato, znowu przybrząknął na skrzypcach.

A tu jakaś główka jedna, druga, trzecia z nad bramy.

Aniołki.

— Isz, isz — powiada jeden — jak to ładnie gra!

Jak to Zwyrtała usłyszał, jak puści po strunach smyk, jak zabrzęczy na wszystkich czterech naraz marsia!

Hej Madziar pije, hej Madziar płaci!...

— Ach! Jak ślicznie! Jak pięknie! — zawołały aniołki. — Co to za muzyka taka?

— To ze zbójeckiego.

— Ach ze zbójeckiego, ach ze zbójeckiego! — zaczęły wołać aniołki i klaskać w rączki. — Ach! Jak to ślicznie!

Wtem klucz zazgrzypiał w zamku, brama się otwarła; klucznik niebieski, Święty Piotr, w niej stanął.

— Zwyrtała!

— Haw!

— Pójdź!

— Do nieba nie trza pytać!*)

Ale się w mig rozniosło po niebie, że przyszedł góral, co gra. I doniosło się do samego Pana Boga, co rano wstawszy, przed gankiem siedział i fajkę palił. Nie robił nic, bo to była niedziela.

I jeszcze Zwyrtały nie zakwaterowali, przyszedł anioł, ale już nie taki mały w białej koszulce z białemi skrzydełkami, tylko duży, w zbroi srebrnej i z mieczem z płomienia u boku, a skrzydła miał tęczowe i powiada:

— Zwyrtała!

— Haw!

— Prawda to, że ty umiesz grać?

— Prowda.

— Zbójeckiego?

— Haj.

— Zagrałbyś?

— Ze cemuzbyk nimioł zagrać? Przed kim?

— Przed Panem Bogiem.

Skrobnął się Zwyrtała za uchem. Ale tylko raz. Galica był, a Galice wse chłopy były śmiałe.

— Zagrom.

— No to pojdze! — powiada anioł z góralska.

— Przepytujem tys bars piéknie, cy tys béli może kie w holak? — zapytał się Zwyrtała grzecznie.

---

*) prosić.

Uśmiechnął się anioł.

— Byłem — powiada.

— Zje kie? Ale prosem przebocyć, co jek telo śmiały.

— Jak się Polacy z Tatarami bili, w Kościeliskach, do pomocy.

Z niedowierzaniem spojrzał Zwyrtała na anioła; młody był — na dwadzieścia lat najwięcej.

Roześmiał się anioł, dorozumiał się, o co chodzi.

— Tu się w niebie nie starze — mówi.

Zawstydził się Zwyrtała i odpowiada: — Nieg sie nie cudujom. Kazbyś ta sytkiemu naroz w niebie zrozumiał? Na ziemi nie rozumieś, a nie dopiero tu!

— No chodź — rzekł mu anioł i poszedł naprzód.

Idzie ulicą, szeroką (ka ta Ludźmirskiej w mieście*) ku niej! nic nie stoi!), po obu stronach domy srebrne, ka Świenci siadajom, aż przyszli przed złoty dom, a przed domem na ganku Pan Bóg. Fajkę pokurzuje.

Pokłonił się Zwyrtała pięknie, kiwnął mu Pan Bóg głową.

A dookoła aniołowie mali, duzi, archaniołowie w złotych zbrojach, Święci, Święte, i ci co w niebie są, chłopy, baby, a bab ćma! Zleciało się to

*) w Nowym Targu.

ze syćkik stron na muzykę! Cudecki robiły, tak się jedna przez drugą pchała, te dusze.

— No — ozwał się Pan Bóg — Zwyrtała graj.

A Zwyrtała znowu się pokłonił Panu Bogu i powiada: Kłaniom sie najpokorni Ig Miłości Wielkomoznemu Wszechmogącemu Panu, a cy tys niewiedzom, nima tu jakik podhalańców młodyk w tém niebie?

— Po co?

— Bo kie zatońcy, to sie lepsi gro.

Roześmiał się Pan Bóg, dał znak aniołom. Polecieli dwa, ale wrócili z niczem.

— Jest paru, ale starych — melduje jeden.

— To na nic — powiada Zwyrtała. — Kaby ci ta stary tońcéł! A kaz som jest ci młodzi? Bo ta przecie i młodemu sie trefi, co umre.

A święty Jerzy powiada:

— W czyścu by ich szukać potrzeba.

— Ej wiera! Terozeście wej, panosku, dobrze pedzieli! W cyjscu! — powiada Zwyrtała. — Hań bedom! Bedzie kerdel! Jedyć wiem: Marduła Jasiek, tén co go zabiéł Brzęk z pod Łysyńca, przi Howańcowej Bronci, hań; béł złodziej Matejów Franek hań — obwiesili go w Mikułasie — cysto piéknie štyry karcymy na Luptowie zrabował i pozpodpalował, cy tén pote niebedzie w piekle? Majercyk, Pietrzków, co go wóz z rudom na Skupniowym Upłazie prziwaléł, straśnie sie rad bi-

jał — e, kieby ten haw przisel! Niebyło nadeń tonecnika na sto wsi dookoła!

Ale Pan Bóg skinął ręką.

— Graj!

— Jakom?

— Zbójeckiego.

— Jak zbójeckiego, to zbójeckiego.

Przykręcił Zwyrtała kołki zębami, dostroił, pociągnął smyczkiem, do ostatka wygrał, od

Hej Janicku serdecko,
kaześ podział piórecko
cok cį dała?
A jo jehoł do wojny,
upadło mi do wody
duso moja! —

przez

Hej baca nas, baca nas,
dobryk chłopców na zbój mas! —

aż do

bo hań hamernicy tańcujom! —

wygrał syćko, do imentu.

Pokiwał Pan Bóg głową, zwidziało się Mu, dopiero Święci, aniołowie, zbawieni za Nim, e, tak wom powiem, to sie juz dość nakwalić niémogli tego Zwyrtałowego grania! A on straśnie rad był, jaze mu się bausy zizyły.

Hej, ale co! Pan Bóg poszedł do swojego pomieszkania, a tu dopiero Święci, Święte, janiołowie Zwyrtałe pytać: graj! graj! A śpiewać umiesz?

A Zwyrtała nieodpowiedział, tylko zaraz na Mętusiańskom nutę:

Kie jo se zaspiwom na pośród polany,
teloz by zagrały w kościele organy!... —

a wszyscy na to: Ach! Jak ślicznie! Ach! Jak pięknie!...

Tak Zwyrtała gra, śpiewa i co się nierobi! Idzie Święty Józef, Panjezusów ociec, bez niebo, a tu słyszy duszę śpiewającą, jakomsi dziewecką duse:

Dopiro mi beło dwanaście mięsięcy,
juz hodzili ku mnie hłopcy śpiwajęcy! —

słucha Święty Józef, jeszcze się nie nasłuchał, a tu z drugiej strony jakasi męzka dusza, basem:

Kiebyś ty dziewcyno nie była rodzina
joby tego zabił, kogo byś lubiła!

Jeszcze się Święty Józef nie osatał, co to, a tu, poznał, z trzeciej strony anielskim tenorem, ale to tak z góry, na moc, jaze hucało po niebie:

Pobij Boze, pobij tego owcaricka,
co jego owiecki idom do wirsycka!

Złapal się Święty Józef za głowę! Kiz to sto dziadów!? — pada.

— Je coz to takiego?!

Leci ku Świętemu Piotrowi, a tu, w tem miejscu, gdzie się dusze zbawione anielskich pieśni uczyć mają, nie archanioł Gabryel pośrodku ze złotą pałeczką i trąbką stoi, tylko Zwyrtała na krześle siedzi i gra, a koło niego dusze męzkie, żeńskie i aniołowie już dość zdatnie chórem:

Podźmy jus du domu — nocka ciemna,
oby nom niebeła — nadaremna,
węgierska ślachta — piniązki mo,
my śwarne hłopoki, to nom ik do!....

— Chryste Jezu Panie! — krzyknął Święty Józef i do Świętego Piotra jeszcze warcej się poniósł: co się tu robi?!

Przychodzi w te razy archanioł Gabryel i powiada, że niechce nikt w niebie inaczej śpiewać, tylko po góralsku. Nawet święta Cecylijo.

— Zwyrtała ich uczy — powiada — cud*) sie robi! Nowych pieśni się mieli nauczyć, jutro święto Matki Boskiej Zielnej, nie umie nikt nic!

Przyszła noc, słuchają: ztąd i ztąd idą góralskie nuty, całe niebo jaz giełcy!

Na rano powiada Święty Pieter do archanioła

*) Nadzwyczajne rzeczy.

Gabryela: Tak nie może być. Nie zawołałby pan tego Zwyrtały?

— A dobrze.

Idzie Zwyrtała, gęśle pod pachą; pokłonił się.

— Zwyrtała! — powiada święty Piotr. — Nie poszedłbyś ty gdzieindziej?

— Z haw stela?

— Tak.

— Z nieba?

— Aha!

— Ze ka?

— Ka? — powtórzył święty Piotr. — To też to...

I zamyślił się.

— A bez coz tak? — pyta się Zwyrtała. — Dėj mie haw po śmierzci posłali.

— To też to właśnie...

— Nie krodek, nie zbijał, nie biėł sie —

— Wiem, wiem!

— No to co?

— Ale wszyscy w niebie po góralsku śpiewają, odkądeś ty tu!

— E! To to to?

— Zwyrtała! — powiada święty Piotr — (zatrzymał się). — Hm — z nieba no to gdzie?

A Zwyrtała pomilczał trochę, skrobnął się za uchem i mówi: E, prosem Ig Miłości, o to niek Ig głowa nie boli! Na mnie to ta hojco przistanie! Idem!

— Dokąd?
— Je skondek prziseł.
— Na ziemię?
— Ze ba haj.
— Ja cię myślałem na jaką gwiazdę dać. —
— Nie pytom!*) Nijakik gwiazdów nietrza sukać! Idem hań, dołu.
— Z nieba?
— E, moji ślicni piékni, jo i tam niebo nojdem! Beem se hodziéł po lasak, po dolinak grajęcy. Beem strzóg, coby starodowne nuty nie wymarły. Siednie hłopok z gęślami przi owcak — zagrom mu cihućko na turnie. Zaśpiéwo dziéwce za krowami w upłazie — pomogem jéj. Pudom starzy gazdowie w las, drzewo ścinać, zabrzęcem im za usami, jako ojcowie grawali.

A niebedzie nikogo, to bedzie woda po potokak, bedom stawy zamarźnione, ka wiater gwizdo lodami, bedzie las, mnie sie hań nie ukotwi, ani za niebe nie zacnie. Jo kiek zéł, tok nieroz Pana Boga pytał, coby mi po śmierci jino wiecnie w holak ostać pozwoléł. Jo o inkse niebo niestojem, ani byk gór na inacy, hojby mi siedem niebów dawali, nie mieniał!

— No to, Zwyrtała, idź, bobyś nam tu całe niebo zgóralszczył! A niebędziesz se krzywdował?

---

*) Nie proszę, niechcę.

A Zwyrtała aż skrzypce ze smyczkiem ku głowie podniósł!

— Mnie hań niebo, ka i serce! — powiada.

I pokłonił się pięknie i wyszedł za niebieską bramę na gościniec ku ziemi — noc była. Mleczną drogą na dół szedł, skrzypce pod pachą niesęcy, a kiedy się już na ślebodzie uczuł, krzyknął: Hu ha! — i z góry w nutę uderzył:

Górol jo se górol, z popod samyk Tater!
Dyscyk mnie odkompał, odkołysał wiater!

Krzywaniu, Krzywaniu, coś ty tak osowiał?
Cy cie śnieg przipruséł, cy cie wietrzyk owiał?

Hej kozicki. kozicki, wtorędys hadzajom?
W Dolinie Pior-zystej tam one bywajom!

Janicku, Janicku, sto hromów do tobie,
po całéj dziedzinie idzie hyr o tobie!

Nie wstycie sié ludzie, macie zbója w rodzie,
zbójnik pudzie w niebo na samiućkim przodzie!...

I szedł dalej Zwyrtała śpiewający drogą mleczną w dół, aż zeszedł ku szczytom na skalne perci i wstąpił w głębinę Tatr.

ZA SYTKO

Przyhodzi do mnie mój spólnik, Francisek Walos, i pado mi tak: hłopi sie zbirajom, ksiądz wikaryji Kmietowic i organisty Jandrusikiewic wołajom na to i fcom wieść. Ze rzędu z Widnia pisma przisły na doliny, tamci hłopi panów mordujom i rabujom, bo im starostowie poozpisowali, ze ig panowie mieli wybić do nogi i grunta im wziąść. Koło Gdowa, koło Bohnie, koło Sąca, koło Tarnowa krew sie leje. Za rannego ślakcica, cy to bedzie i wto iny ze dworu, coby ino do pańskiego odzienia odziaty był, płacom w starostwak po pięć reńskik, za zabitego po dziesieńć. Krziwda sie strasna i zbrodnia dzieje — krzicał ksiądz Kmietowic z ambony — bo panowie sie gotowali na Austryjom, a z Austryje ig własnyk hłopów na nik zwyrtli. Pado ksiądz Kmietowic: hybajmy się łącyć s témi, co sie proci Austryje dźwignonć fcom, hybajmy bronić niewinyk, bo co wto kie był winowaty, to je jest teroz, za tem raze, przez winy! Wiém, zeście na tym kozaniu nie byli, to nie wiécie.

A jo na tym kozaniu nie bél, bok straśnie syna chorego miał, na łoźnice. Ku temu baba mi w połogu lezała, Bóg dał dwoje odrazu, a jesce było troje, takiego drobiazgu. A biéda u nas była w hałupie taka, co jus dokumentnie, sprawdy pedzieć, nie było co do gęby włozyć. A tu i zima twarda — i po drwa do lasu nié miał wto iść, widziało sie, co jus ino skapać. A Franciszek mi radziéł: biercie kose, Bartłomieniu, hybajcie s nami, Polskom bronić, pado organisty.

A jo mu na to tak:

Wiés ty, Franek, co? Kiebyś mie ty w Luptów, abo i do Polski ka pozywał, ka na jakom karcyme, abo na jaki pański dwór, coby my haństela piniondze, a jeść i pić przinieśli, hoć to grzych, weru na mój sto prawdu, joby s tobom seł! Bo kie Ponbóg o mnie zabacył, to co jo mam o Nim pamiętać?! Syn, wiés, nostarsy, ten, co mi robić pomagał, ino, ino; baba lezy, przez mléka je, bo skąd, a tu to dwoje przy cyckak — a hańto troie ino płace, bo sie mu jeść fce. Krowy w oborze niéma, świni w hléwie niéma — nie trza ci gadać, bo wiés. Ostatnio biéda na mnie! I jo ci haw mam kose brać i pod Gdów kajsi, cy pod Tarnów iść?! Wieraześci! Powiédz mi tak: Bartek, podź! Krew nam z pod obuhów jak woda śknie, caski łudać bedziemy, z brzuhów dobro wydremy, ale sie twoje dzieci najedzom — to pude! Ludziom wziąść, sobie dać — pude! Ale nieg sie nie ino Galicyjo,

ale świat cały wali — je wtoz tu do mnie s téj Galicyje przisel na moje biéde zazirać — co? Béł tu kie jaki pon z pod Gdowa, cy z pod Tarnowa? Prziniós mojemu synowi łyzke rosołu, mojej babie krapke mąki, moim dzieciom hleba? Jageś go widział, to powiédz!

Poskrobał sie Francisek w głowe, markotno sie mu stało, bo wiedział, ze prowde mówiem, a i luto mu mnie béło, bo i on hudobny béł. Poskrobał sie i gwarzi: Zol s tobie sie obzywo, boleść. Jo ci sie, bracie, nie cudujem. Ino ze to... Kiebyś béł słysał, co ksiądz Kmietowic z ambony krzicał, jako pote do nas przed plebanijom organisty Jandrusikiewic radziéł... Kiebyś był słysał...

Spar coło na ręcak, — jaze mu ciężko béło od myśli, co mu je ksiądz i organisty w głowe nakładli, a jo tys głowe na ręcak spar, bo i mnie ciężko od myśli béło, hej, widziało sie mi wte jesce nie tak, jako jemu.

I tak myślimy oba, jaze mój spólnik wstaje i pado: no, to bydźcie zdrowi, Bartłomieniu, jo ide.

— S temi hłopami co idom?

— S temi.

— A baba, dzieci?

— Jako fcom. Hań mnie woła... Ostańcie z Pane Boge!

— Boze prowadz!

Dali my se renke, poseł. To béło rano, wcas.

W połednie wysełek jo przed hałupe, bok jus

ani wysiedzieć niémóg. Płac, jęk, głód, nędza, co jus nie tak, ale sie widziało, co ostatnio godzina przyhodzi. Stojem przed izbom, słońce świéciło, patrzem — błysło! Idom hłopi z kosami, nascy haw ze wsi, Hohołowianie, a na przodku ksiądz wikaryji Kmietowic i organisty Jandrusikiewic z krzizami, Jandrusikiewic przi sabli, a Mahajcoków Pieter z horengwiom.

Idom, banda cało, mijajom mie. A jo stoje poprzed izbom i patrzem. Patrzem, patrzem, kie mie nie hyci drgowka! Zedrzałek telo, co cud, zmąciło sie mi w ocak. Kie mie cosi nie hyci za krztoń, za serce! Kie nie ryknie cosi se mnie, nie płac, ale tak, jak kiebyś wej krwiom płakał! A ci idom, tako 'cyrniawa, hłop przy hłopie, sami nascy, haw z Hohołowa. Ani jo sie nie nazdał, co robiem, hipnonek w izbe, łapiem cieślice, cok jom miał, cuhe na kamizelke, krzicem do baby:

— Idem!

— Ka? — pyto sie.

— Pod Gdów, pod Tarnów, ka hłopi nascy idom, bronić Polskom od Austryje!...

Nie dokońcyłek — dźwigła sie na pościeli, woło:

— A coz jo? A coz dzieci?

— Bóg nad wami!

— A syn?

— Nig skapie! To darmo! Jo musem iść, syscy idom!

no telo jesce krzicała: — Bartek! —ale tak, jak kiebyś kure rznon — jo jus był w sieni!

Ostawiłek sytko, biéde, głód, chorość, śmierzć i miéłowanie — lecem!

— Tuś?! — pyto sie Francisek, kiek go doleciał.

— Tu! — padom mu.

Ścisneni my sie za rence — hej, ono było ostatni raz. Zastompili nom Cornodónajcanie z filancami, jogry, urzendnicy z miasta, ze rzędu przisło: nie puścić Hohołowianów! Zrobiła sie bitka. Leja, Wawrzek, z wyśniego końca z Dónajca, zacion ciupagom do głowy — Francisek spad na ziem, nie wstał więcyl.

A mnie wzieni, związali, pojehałek pote ze ziandarami w Nowy Targ, pote do Sąca, pote na Śpilberg. Haniek w hereście wysiedział śtyry roki. Kiek wróciéł, wiécie, co jek naloz? Nalozek syna pod ziemiom, dwoje dzieci pod ziemiom, dom Zyd wzion, a baba kejsi we świat s tym dwojgem, bo to umreć nie fciało, i s tym jednym, co wyzyło, posła, nigda jek sie niedowiedział ka? Telo jek naloz. Ale mi nie zol — co jek cuł wte, kiejek w izbe hipnon, to mi do końca zycia zapłaciło za sytko!

BABSKI WYBÓR

Byli w jednej wsi gazdowie bardzo bogaci, mieli syna jedynaka i chcieliby go byli strasznie dobrze ożenić. Ale wybór był trudny, bo się dziewki pchały jedna przez drugą i każda swoje cnoty przedstawiała.

Aż raz powiada baba do chłopa:

— Wies, Wojtek, tak nie zrobimy nic. Nie poznas cłowieka, ino wtedéj, kie nie wié, ze na niego patrzis. Oblec sie za dziada i pomiendzy hałupy idź — wtora cie dziéwka nolepsi obdarzy, s tom nasego Kube ozenimé. Bedzie nolepsa.

Zwidziało się to chłopu, ta babska rada, wdział starą czuchę, łatane portki, wziął na plecy torbę, w rękę kij i poszedł. Rzekomo dziad.

Idzie pomiędzy chałupy, chodził cały dzień, wrócił wieczorem i siada na ławie zmartwiony, a gębę miał z jednej strony spuchniętą.

— No coz? — pyta się go baba. — Wtoraz ci sie na niewiaste udała?

— He — powiada chłop — obiór trudny. Zasełek ku piérsej: dała mi spyrki, zasełek ku dru-

giej: dała mi obrozek świencony, zasełek ku trzeciej: wyprała mi kosule — cos teroz wiés? Jedno scodra, drugo nabozna, trzecio robotna — syćkie dobre.

— Hm — mruknęła baba. — Iści ze obiór trudny... Ale coz ci to, co mas gębę spuchnionom?

— E to nic, ani gwary nie warce. Zasełek ku scwortej, dała mi w pysk — powiada chłop.

A baba jak nie skoczy z ławy, jak nie krzyknie:

— E głuptaku jeden! Nie gados nic? I jesce medetujes?! Jedy to tak, jakby ci sam Pon Jezus Przenojświentsy ż nieba palcem pokazał!

BEZ CO SIĘ ŚWIĘCI DOSTALI NA KĘPĘ

Bėło dwok hłopów i mieskali przy wodzie, jedėn z jednėj strony, a drugi z drugiėj; ten, co bėł na prawo, to sie nazywał Kuba Jamrozik, a ten na lawo Wawrzek Bieńkowski.

A to bėlo przy wsi, kajsi koło Białego Dónajca. Ci hłopi mieli grónta koło wody, proci sobie. Kie wody sły, na wiesne, to abo jednemu urwało, a drugiemu przycyniło, abo temu zaś urwało, a hańtemu darowało.

Miał kazdy z tyk dwok gazdów po świentym z drzewa wyrzezanym Kuba miał Świentego Jantoniego, a Wawrzek Świentego Jacka.

Kie woda sła, powódź od Tater, to sie oba modlowali: Jamrozik pytał: He, Świenty Jantoni, urwijze tys Wawrzkowi, a mnie przicyń!... a Bieńkowski zaś wołał: Świenty Jacku, ślicny, piėkny, kieby tys Kubowi ubyło, a mnie przyrosło!...

He, cos, prziseł taki rok, co i Kubowi i Wawrzkowi urwało.

Idzie Kuba ku Świentemu Jantoniemu, co na półce stał: je cos to robis?!

AWawrzek samo to we swoim domie.

Pośli po rade, oba wraz, do starego pustelnika, co w lesie nieobdalno mieskał.

Pustelnik pokiwał głowom i pada im:

— Moi ślicni piékni, Świeńci tys musom uwazować, coby do kłopotu pomiendzy sobom nie prziśli. Jeden drugiemu na despet nie fce zrobić. Hébaby musieli w pośrodku rzéki stać, coby sprawiedliwie wode dzielili.

— Hy — pada Jamrozik — to nie trudno. Jest hań kępa na samym środku.

— No to ig hań wynieśmy — pada Bieńkowski.

— Nawet im bedzie weseléj, bo bedom wroz.

Wynieśli tyk Świentyk i postawili pod daskem, coby na nig nie lało.

— No i jako béło?

— Jako béło? Sprawiedliwie Świeńci dzielili: zakiel Kuba i Wawrzek pomarli, kozdemu do równości po półtora morga gróntu wody urwały. No wicie! Co świenty rozum, to świenty!

— Zyjdyć to! Nie biadkał juz zoden, ba se przikwalali, jako im ten pustelnik dobrze poradziéł. Dziś ta jakiesi tamy bijom, cosi kajsi, wode ucom, coby wiedziała, jako ma iść, a drzewiej to se hłop wiedział i ze Świentemi sam poradzić i Pon Bóg go nie opuściéł.

— Nie opuściéł...

SZYMEK KRZYŚ

Umarł Krzyś. „Nasz Krzyś umar, już dziś tydzień, jak leży w grobie“.

Tak prosto i krótko doniesiono mi o śmierci Krzysia z Zakopanego.

Szkoda cię, Krzysiu.... Któż tak, jak ty, kochał starodawne nuty, które, według twego wyrażenia, „w złoto oprawić“; któż tak, jak ty, miłował starodawne pieśni i starodawną chwałę podhalańską.. Któż tak, jak ty, czuł bezwiednie, ile było Homera i jaka homeryckość była w dawnych chłopach pod halami... Któż tak, jak ty, lubił i umiał grać po staroświecku na skrzypcach...

Szkoda cię, Krzysiu...

W śniegi, kurniawy i mrozy trzaskające i w cudowne dni pogodnego lata, czy jesieni, cośmy się to nie nawłóczyli popod Tatry! Nie zastanowiły nas ani zaspy po uszy końskie, ani noce ciemne wśród lasów, ani bezdroża, gdyśmy się na małych sankach w głąb regli wbili. I nigdy nie opuściła Krzysia wierna mu do siódmego krzyżyka pa-

robska „fantazyja“, artystyczna ochota i ciekawość do wszystkiego, i szekspirowski, nieopłacony humor. Staroświecki, stary, pierwotny humor, wychowanych na swobodzie i w zdrowym życiu chłopów zamarł z Krzysiem w Zakopanem bodaj zupełnie. Gdy czytam siedmnastowieczny „Ogród fraszek“ Wacława Potockiego, to mi się czasem zdaje, że słyszę Krzysia. Ta sama zwięzłość, rubaszność, podobny żart — podobny zresztą język.

Krzyś w Zakopanem mieszkał, miał dom gościnny, „panów woził“, ale cywilizacya nie przylepiła na nim ani jednego swego wytartego liczmanu, nie starła zeń ani jednej łuszczki rodnej dawnej kultury. Krzyś zanadto był wbity w pamięć o „dawnych czasach“ i zanadto pierwotny, aby cokolwiek nowego i obcego doń przylgnąć zdołało. Włóczył się za młodu światami, chodził na roboty do Pesztu, ale tam przedewszystkiem grał, a „dziéwki to za nim snurem sły, a wina cyrwonego to zawdy konewkom móg pić“; chodził do roboty „do koleje“, na Liptów, ale tam znowu przedewszystkiem grawał Gadejom, Matejom, Mocarnym i innym honornym chłopom, którzy co nieco na taczkach ziemi na wały kolejowe wozili, a więcej po Liptowie „za swojemi interesami wandrowali“... Krzyś młodość przegrał na skrzypcach i prześpiewał. A „hłopy wte byli strahotne i ohotne“. „Kie taki wzion

tańcyć, to tańcył całom noc. Kiz byś mu dyasi zdolał wygrać?“ „Basisty przy Krzysiowi“ wiązał kawałek drzewa pod podeszwę do kierpca, a kiedy już się chłopi „ka na weselu, abo w karcymie“ podochocili, „to dość beło, kieś mu ta coby jino smycke po strunak zgrzipnon, a Wojtek-tem drewne po dyłak łupkał, to tak seł głowom po powale, bo sie mu widziało, ze mu jus tak piéknie gramy. A to hłopy beły nie takie, jak dziś! Hłopy beły zdrowe! Za konia taki siéłe miał! Hłopy beły wielgie, śmiałe!“

Mały, drobny, sucherlawy Krzyś, olśniony w młodości siłą i śmiałością tych chłopów, pozostawał w tem olśnieniu do końca. Mówiło się z Krzysiem o wszystkiem. Ksiądz, oprócz tego, gdy z „Panem Bogiem“ jechał, był dla niego przedewszystkiem figurą, mającą gospodynię, nawet o „ojcu świętym“ mówił bez osobliwego namaszczenia, bez osobliwego też przejęcia o „cysarzu“ — ale za to raz pod Kościeliskami na drodze stoi wysoki, smukły stary chłop. Spojrzał na nas — czysty orzeł drapieżny. Krzys nachyla się do mnie i szepce uroczyście z przejęciem: „Panie, Izydór Mateja“...

Stary zbójnik, syn słynnego Janicka Małei, brat jeszcze słynniejszego Wojtka i godnych jego Jaśka i Józka. Podobnie za czasów Samuela i Krzysztofa Zborowskich musiał drobny szlachcic wymieniać nazwisko: Z b o r o w s k i.

Wielkiej żywej epopei homeryckiej dawnej podhalańszczyzny ubył z Krzysiem jeden z ostatnich świadków, bo jej konania jeszcze wczesną młodością zasięgnął, a zarazem jeden z ostatnich, którzy ją we krwi mieli. Krzyś nie opowiadał „panom“ — Krzyś współżył pamięcią. Uwielbiał, podziwiał, wspominał i opowiadał. Jego opowiadania były tem różne od opowiadań n. p. takiego Sabały, że Krzyś przedewszystkiem sam był pod urokiem i podziw swój słuchaczowi chciał wszczepić. Taki Sabała działał osobiście — „Sabała zaśpiewał, Krzywań mu odpedział, bo o jego sprawie nik iny niewiedział“ — był herosem; podobnie herosami, choć tylko myśliwskimi, byli Maciek Sieczka, lub żyjący jeszcze Tatar Szymon. Opowiadanie kogoś, który sam czegoś dokonywał, inny ma charakter, jak tego, który jakąś chwałę głosi. Krzyś nie imał się nigdy innego „rzemiesła“, jak paszenia owiec, roboty we fabryce w Peszcie, czy przy kolei, gazdowania na roli i muzyki — natomiast był poetą nieuświadomionym przez artystyczną wrażliwość swej natury. Pracował, jak wszyscy, ale żył myślą w jedynym u nas do niedawna jeszcze świecie eposu.

Religia też, której go nauczono, ani dokumenta cywilizacyi, które w Zakopanem widział, nie osłabiły w nim ani na włos całej najpierwotniejszej wiary; dla niego dziwożony rzeczwiście mieszkały niegdyś w uspisku powyżej Bielskich Grót,

dyabły funkcyonowały bezpośrednio, nadprzyrodzone moce, poza temi, których kościół dozwala, brały udział w życiu na ziemi, zwierzęta miały przeczucia i widzenia, „cosi“ było potęgą świata. Krzyś był bezwiednym poetą zamarłego rycerstwa i zamierającego pogaństwa na Podhalu i dlatego był nieopłaconym, nieoszacowanym jego skarbem.

A mnie ubył ostatni między góralami przyjaciel. Gdy z powodu zdrowia w latach ostatnich musiałem zaniechać wycieczek w Tatry, wędrowaliśmy Krzysiowym wózkiem, czy sankami, popod Tatry. Bywały w tych wędrówkach takie chwile, które zarówno mnie, jak jemu, pozostawały na zawsze w pamięci. Czy owo cudowne odsłonięcie się z mgieł Łomnicy od Kiezmarku, czy owo umycie się ranne na świtaniu w jesieni w potoku ze Staroleśnej Doliny, podobne do obmycia się w jakimś Świętego Zdrowia zdroju, czy ów wjazd zimowy do Doliny Chochołowskiej, gdy złotem słońce ją zalało, a na zdymisku, w oślepiającej oświacie słońca, w południe tak jasne, błękitne i pogodne, że ubezwładniające, dziewięć sarn się pasło, jak w dniu stworzenia, w bezludziu, prawie bez trwogi...

I ów las spizki, rozśpiewany ptakami, jak w Biblii...

I owa noc w głuchym strasznym borze wśród śniegów, w przepaści pustynnej... I owa nasza

wspólna nieujęta, nieobjęta miłość ku górom, w których najpiękniejsze śpią nasze lata...

Wszystko to już skończone, mój stary Krzysiu; niepojedziemy więcej ani „na Śpis“, ani „ku Orawie“. Przyszło ci „odpytać“ świat i pożegnać się z nim. Co kogo obchodzi twoja śmierć? Tysiące starych chłopów umierają codzień i jestto rzecz tak naturalna i pospolita, jak opad liści jesienią. Ale że moje „Podhale“ jest książką, w którą ja wszystko, co w Tatrach znalazłem i czułem, zamykam: więc i twojej pamięci, opowiadaczu ich homeryckiej przeszłości, grajku we wichrze urodzonych nut i śpiewaku przedwiecznych pieśni, a mój stary przyjacielu, te kilka kart poświęcam.

O PANU JEZUSIE I ZBÓJNIKACH

Seł raz Pon Jezus ze Świentym Pietrem Pawłem bez las i spotkali ig zbójnicy.

To było kajsi w górak, na Luptowie, cy kajsi.

— Nieg będzie pofalony — powiada Pon Jezus i ukłonił sie kapelusem.

— Niegze bedzie na wieki wieków. Jamen — pado harnaś zbójecki, herśt.

— Ka idziecie?

Kciał Pon Jezus cosi rzec, ale mu Świenty Pieter Paweł niedał, ba pilno gwarzy: Po pytaniu.

Ze to niby po prośbie, wiecie, śli.

A to bez to, bo widział torby, a łakomy był, jako to z biednego stanu, hoć i Świenty.

Przypatrzył sie do nik obu harnaś dobrze i pado:

— Podźcie s nami.

I obrócieł sie do swoik towarzisów i gwarzy:

— Ten stary bedzie dobry torbe nosić i drwa rąbać, a ten młody ogień kłaść i posługować koło jadła.

I pyta sie: Idziecie?

Skrobnon sie Świenty Pieter za uhem, bo po-

znał, ze to zbójnicy, zbrój na nik był, flinty, ciupagi, nie rzec mu sie to widziało jako Świentemu, ze zbójnikami hodzić, a jesce s Pane Jezusem wraz. Ale sie ta moc za uhem nie skrobał, bo sie bał i patrzy do Pana Jezusa: co bedzie?

A Pon Jezus kiwnon głowom i pada:

— Dobrze.

Straśnie sie to cuďnie Świentemu Pietrowi Pawłowi zdało, ale sie prociwić nieśmiał. Jedno sie zbójników bał, drugie Pana Jezusa słuhać musiał. Zaraz mu torbe na plecy przypieni, a Pon Jezus ino sakwe z hlebe dostał. Mało mieli jeść, bo z daleka śli.

Idom.

Uśli kęs drogi, gorąc piók, polégali zbójnikowie do cienia i pospali sie.

Gwarzi Świenty Pieter Paweł do Pana Jezusa:

— Uciekojmy, bo jesce do kłopotu przy nik przydziemé!

Ale Pon Jezus kiwnon głowom, ze nié.

Kie sie zbójnicy pobudzili, idom dalej. A było tyk zbójników trzok.

Ku wiecorowi pocéno hybiać jedzenia. Bo ta i Pon Jezus co nieco zjad, a Świenty Pieter Paweł se nie załował. Jeść sie sytkim fciało, co jaze marli od głodu idęcy.

A tu patrzom — lezy pod drzewe stary człowiek.

— Coz ci to? — pyto sie harnaś.

— Głodnyk jest — pado ten stary.

I ten zbójnik dał mu swój kawołek hleba ostatni, co go jesce sowany miał.

Idom dalej, bez pola, pocon prać grad z lodem, a zimno przysło takie, co cud!

Patrzom: zaś dziecko małe w polu płace.

— O coz płaces? — pyto się go drugi zbójnik.

— Zimno mi.

I tén drugi zbójnik sjon ze sobie kozuch i odział to dziecko i w kosuli ino ostał, jaze go trzęsło.

Idom zaś znowa dalej, patrzom: dom gore. Dzieci płacom, wołajom: mamo! mamo!

I trzeci z tyk zbójników hipnon w ogień i wyniós dzieciom matke zpośród płomienia, jaze włosy osmendziéł.

Pośli dalej i zaśli do jednéj karcymy przenocować. A tam ig kacmarka poznała i posłała odkaz do wójta, do ryktara. Przyleciał wójt z przysięznemi i z ludziami i tyk zbójników powiązali. A ś niemi i Pana Jezusa z Pietrem Pawłem.

Wyprowadzili ig z karcymy, zawiedli ku śpiklérzowi gromadzkiemu i hań ig zawarli.

Świenty Pieter Paweł wzion płakać i godo po cihu do Pana Jezusa:

— No nie padałek Ci, Panie Jezu, ze jesce przy tyk hucfutak do kłopotu przydziemé? No to my juz w nim. Cos teroz bedzie?

A Pon Jezus nie mówi nic, ino palcem po ziemi pisał.

Na drugi dzień rano wójt i przysięzni tyk zbój-

ników i Pana Jezusa z Pietrem Pawłem do miasta na wozie zawieźli. Do sądu.

Obstompiły ig ziandary w sądzie, hajducy węgierscy, i powiedli do sądowej sale, a tam na stolcak siedzieli sędziowie.

Było ig samo tak, jak i tyk zbójników, trzok.

— Wyście kradli? — pyta sie nostarsy sędzia.

— My.

— Wyście podpalali?

— My.

— Wyście zabijali?

— My.

A o Pana Jezusa i Świentego Pietra Pawła sie nie pytał, bo ci zbójnicy zaroz pedzieli, ize ig ino po drodze ze sobom zajęni i ze musieli ś niemi iść kęcy niekcęcy.

— Co im sądzić? — pyto sie ten nostarsy sędzia sędziego po prawej rency.

A ten niewiele myślęcy pado:

— Śmierzć.

— Co im sądzić? — pyto sie ten nostarsy sędzia sędziego po lawej rency.

A ten niewiele myślęcy pado:

— Śmierzć.

— Wy trze bedziecie wisieć — pada nostarsy sędzia do zbójników — a wy dwa mozecie iść du domu — zaś sie obyrtnon do Pana Jezusa i Pietra Pawła.

Swienty Pieter Paweł sie zaroz z ławy porwał,

iść gotowy, ale Pon Jezus sie shylił i po podłodze palce pisał.

— Coz pises? — spytał sie go głowny sędzia. A oni nie poznali nic, jeze to Pon Jezus, ani ci sędziowie, ani niwto iny.

— Pisem was wyrok — pado Pon Jezus.

— Jakoz to nas wyrok sędziowski po kurzu po podłodze palce pises?!

A Pon Jezus dźwignon głowe i rzók:

— Coś wcora wiecór zrobiéł?

Zbladnon ten sędzia, jaze zbielał na twarzy, a Pon Jezus powiado:

— Głodnegoś kije ode dźwierzy twoik odegnał

Pojźreli na niego jego dwa kolegowie i sytka w izbie, a Pon Jezus zaś sie do tego po prawej rency obzywo: ,

— Coś wcora wiecór zrobiéł?

Zbladnon ten sędzia, jaze zbielał na twarzy, a Pon Jezus powiado:

— Dziecko małe jeś bił, jaze krwiom zesło.

Pojźrał na niego jego kolega i sytka w izbie, a Pon Jezus obrócił sie do tego po lawej rency i gwarzi:

— Coś wcora wiecór zrobiéł?

Zbladnon ten sędzia, jaze zbielał na twarzy, a Pon Jezus powiado:

— Matke jeś własnom z domu wygnał.

Pojźreli na niego sytka w izbie.

I stało sie ciho w izbie sądowej, co jaz muhy brzęcéć béło słyhać.

A Pon Jezus wte stanon na nogi i obyrtnon síe ku Świentemu Pietrowi i pado:

— Podźmé tustela.

I światło mu ponad głowom zagorzało, a ci zbójnicy piérsi Go poznali, ize jest Pon Jezus, i padli na kolana wołajęcy:

— Panie Jezu, Ojce świata, pozegnaj nas!

I Pon Jezus krziz nad niémi ucynił, a oni sie zamienili w trzi drzewa jabłonne.

Pote zaroz ze Świentym Pietrem Pawłem zniknon.

I zrozumieli ludzie, jeze tu Bóg béł i zburzili ten sądowy dom, coby w nim juz nik więcyl po Panu Jezusowi nie sądziéł, a przed jabłonnemi drzewami postawili krziz i on do dziś hań stoi.

A tyk trzok sędziów wygnali z miasta.

Tak wej bywowało drzewiéj — ale teroz ani zbójników niémas, ani Pon Jezus po świecie nie hodzuje.

ŚPIĄCY RYCERZE (JAKBY O NICH CHŁOP OPOWIEDZIEĆ POWINIEN

O zaśpionyk rycérzak opowiadajom, ze majom być kajsi zaśpioni w Giewoncie. Konie hań stojom przy złobak, bo ig hań widział kowal, Fakla, co ig kuł. Bo sie im podkowy psujom i przekuwać ig trzeba.

Janioł po tego Fakle do wsi, w Kościeliska, hodziéł kielka razy za jego zywobycia.

Jest hań grota niezmierna, ciémna, ino sie kaganki świécom po ścianak. Ci rycérze śpiom, a co dziesieńć lat to nostarsy pomiendzy niémi podźwiguje głowe i pyto sie janioła, co ig pilnuje:

— Cy juz cas?

I sytka rycérze podźwigujom głowy w hełmak zelaznyk, ale janioł odpowiado:

— Nie. Śpijcie.

I śpiom dalej.

Nad niémi jest skała wielga i głęboko do ziemie trza iść ku nim. Ino ze hań nie trefi jacy ten, co go janioł pilnujący powiedzie.

Jo se to nieroż myślał o tém i medétujem se, a i Faklek znał i słysałek, jako opowiadał.

Jo se to nieroz myślem i myślem se: moze to i być. Mozom być zaśpioni rycérze w Giewoncie, bo sytko w Boskiej mocy.

Ale se i to myślem kie niekie, ze wto wié, jako to? Cy som nie jest w naskik hłopskik piersiak zaśpioni śpiący rycérze i cy to pote ta skała, kany śpiom, to nie my?...

DZIŚ TU CICHO

Dziś tu ciho na tèj hali, panowie idom, mléko pijom, niémas jus ani bace, ani juhasów, bo wto ci haw dziś bedzie pas, kie sytka w Ameryke jadom, gazdowie sie podrobnili, owiec niémajom, ale tu bywowało nie tak.

He, drzewiej nie tak béło.

Sałas milońskí stał, samyk dojek sejsto sie pasło, kie baca cytał, skoro do kosara zegnali, béło sie cemu przipatrzyć.

Sto se jedna, sto se dwie,
stoi baca u jedle,
stoi baca pod bućkem,
cyto owce kłabućkem.
Z połednia sie shyliło:
owiecek mu hybiło,
kaj su jedna, kaj su dwie?
Stoi baca u jedle.

Kie jo béł taki nieduzy hłopiec i za honielnika jek. za gonca, słuzéł, be temu wysy siedemdzie-

sieńci roków, béł baca z Bustryku, pisał sie Juro Stopka Brzyskowy, jo haw niemały, ale przi nim dziecko.

Śmiało patrzał do światu. Béł hłop!

Dzisiok ino same dziady. Honorowyk hłopów niémas.

A béli przi nim juhasi, jak byki. Uzdobiéroł se takik, jako som, to se spocywajęcy paśli. Im ta nik na zradzie nie stał. Obował sie ig kozdy. Hąj

Redykał sa Jurik z gronikà na gronik,
ka sa przíredykał, to se zaturlikał...

Taka o nim nuta sła. Bo ka kazeł, to se na fujerze grał, samym luptowskim juhasom pod nos, na grani, i owce, co ś nim przisły, zbércały na turlikak. A béł we Wirhcihej baca nad bace, Jano Bleha z Kokawy, i straśnie go to mierziało, ze sie ig Poloki nie bojom, ba se jesce polski baca na grani na fujerze gra i do doliny mu ku byrkom poziéra, a swoje mu na pokusenie podwodzi.

Pado raz do swoik ludzi:

— Pocie, hłopcy, weźcie se buńkosie, idziemy polskiemu bacy, Jurykowi Stopce, na siéłe owce brać. Cy se tys bedzie jesce pote na grani fujerował?

Prześli bez Liljowe, w prawe połednie przíśli.

Hłopi śtyrzej, baca, ten Bleha, piąty.

— Dobre rano! — pado luptowski baca i kapeluse sie mu pokłoniéł.

— Witajcie! — pado polski baca, a kapeluse samo to. A on jus wiedział, po co hańci prziśli.

Ale on sie ig nie bał. Miał juhasów trzok, dwa béli z Ustupu, trzeci Tomek Cajka z Polan. Kie hłop do hłopa wié sposób, e, nieg cie co praśnie! jo sie niebojem, hoćby sie cało wieś na mnie źgichła!

— Piékne macie dojki — pado Bleha.

— A piékne, dzieńkować Bogu — gado Stopka.

— Cybyście mi sam nie podarował wtorej?

— A to se wybrakujcie!

I kie śmignie obuhe w łeb! Luptowski baca ino ręce oskrzizował. E — jus béło po nim.

Wiés, hłopce, co ci powiem, to ci powiem: łeb sie ozkieła, jak grzib, kiebyś go kopnon.

Haj.

Wziéni sie łomać. Franek Gahut z Kotelnice, co młyńskie koło ręcom hamował i hań wtedéj wolarzem béł, trombitom grzibietowom kość Luptokowi zgion, a na grzibietowej kości trombite cysto piéknie zdrzyzdzył.

Sytka trzej ci juhasi za bacom pozbyli zycia. Wzieny ig pastérki z wolarzami, bo sie juhasi niefcieli s tém babrać, honorne hłopy béły, i wewlekły daleko w kosodrzewine, coby ig liski, orły, sępy, bo ig haw dawno béwała moc, i puhace z miésa ogryzły.

No i nic. Dobrze.

Wysło dwa dni. Poźréme — idzie sześć bab od Luptowa.

— Dobre rano! — padajom, kie sie ku sałasowi nablizyły.

— Witajcie! — pado baco.

— Uciekły nam dwa pieski. Nie widzieliście? — pytajom sie té baby.

— E dyć som jest hań w kosodrzewinie, to se ig weźcie — pado Stopka i ukazał im wej rencom.

Zwyrtneny sie i z płacem nazod ku Liljowemu. do Luptowa, sły.

Nie pedziały nic.

One jus wiedziały, jako padło.

Nie sukały nic.

A to bèły matki dwie, jedna ziena, jedna siestra i dwie frairki. Jak Bóg niefce, to ci włos z głowy nie spadnie, a jak nié, to hojbyś hodzièł w zelezie, to cie Pan Bóg nalezie.

Zawdy wirhował niebedzies. Panu Bogu bez rozum nie przejdzies. Bajto!

Janosik nie taki bèł, a na haku sie w Mikułasie skońcèł.

Dziś tu nietak, panowie mléko pijom, sałasa niémas, juhasów niémas, bace niémas, owiec przez mała tak, jak nic, krówsko hala sie zrobièła, samé pastérki ino, a i shronisecko pobudowane, jedno haw, a drugie przi stawie. Dość fajne.

Ale tu drzewiej bèło nie tak.

He miéły, mocny Boze! Tym nie trza było shronisków, co haw bywowali! Kie na mróz piętami zakrzesał, to mróz uciók, a hłop ostał.

Bie!

Świat sie odmieniéł.

A s tobie, hłopce, co bedzie? Jako ci wyjdzie, to ci wyjdzie, jak byś miał zajęce sumienie, to sie nie zabiéroj nika, ba trza mieć, jak niedźwiedź.

Bleha zginon, ale na Luptowie do dziśka gadujom: śmiały jak baca z Wihcihej. Ono ta i to cojsi kajsi warce.

Zawdy wirhował niebedzies, ale coś uwirhował, to twoje.

Kameraci moi, dyć mie nie niehajcie,
pod zielonym stromem tam mie pohowajcie...
— — — — — — — — — —
E pod zielonym stromem tam mie pohowajcie!...

Na tle opowiadania Tomka Gadei z Polan.

NOTATKA O POLSKIM CHŁOPIE

Jo kopoł rude w Magórze, wte hamry sły w Zakopaném, jaz dudniało po dolinie. Pedzioł mi taki Józek Kulawy, stary hawiorz i pokozoł mi, ka by miała ruda być i ka by jéj miało być godnie. On hań po nie nie seł, bo béł stary. W takim kominie miała być, w śtolni. Jesce ta śtolnia, wiem, do dziś hań niezasuta.

Lem świt jo sie hań wzion. Niepedziołek nikomu nic, włozek w komin, zobziérołek sie co i ka i wzionek sie do kopanio. Kopiem.

Jak kopiem, tak kopiem, widzem, ruda jest i moc jéj, a tu sie bestyjstwo uwiezło i gruh! Zegrzmiało tak, jako od pieruna i zasuło mie po kolana. Dziure, wtorędéjek właziéł, zasuło do znaku. Cysto piéknie jom zasuło. A ten piorg jedzie na mnie, leci ze ścion, jak woda.

Trza beło zginonć. Boby mie béło zasuło wysy i zapucyło.

Wzionek deptać piorg nogami, depcem, depcem, on sie suje wereda, a jo ś niego nogi wydźwigujem tak. jakiebyk po śniegu miękim seł i wsejek go

mioł jyno po kolana. Depcem, depcem, jo sie hań nie pytoł, wtoro godzina? Bo śmierzć za mnom stała i coroz to ręcyskem sięgała ku mnie. Cułek jom za plecami, kościsko brzićkie, włosy jek mioł długawe, to sie mi widziało, jeze mnie za nie hyce, ze zadku.

Je, méślem se, wziena byś mie! Mozek ci sie i zwidzioł, młody człowiek. Śmierzć w złym miejscu, w niesceńściu, pilnij młodego człeka weźnie, jako starego. Ba z babom to se case rady dać nimoze. Baba pies. Taby sie i śmierzci nie dała, kieby djaboł nie pomóg. Ale ten baby i w godzinie śmierzci nie opuści. Posłuzy jej.

Jo sie gracem w tej rudzie, rahowołek, ze juzby miało blizko połednie być. Mnie hań słońce nie świéciło. Ciémno béło, cok ani własnego palca niewidzioł.

Słuhom — cosi puko.

Słuhom jesce, przisłuhujem sie — puko.

Sukajom mie.

Zaświéciła sie mi tako sparecka w skale i pyto sie mi Siecka Maciek, z Łązka pod Gubałówkom, wiem, zeście go znali dobrze, a jo zaroz głos poznoł:

— Z-ijes hań?

O, kwałaz Bogu! Nie zrobis mi ty nic — méślem o śmierzci, stój ze se hań za grzibietem, stój.

Kujom, kujom kilofami, wykuli dziure i Siecka uwidzioł moje nogi i popod mie za nie. Ciągnie.

Je dy ta ciąg, jak mozes. Wyjehołek do pół, wyjehołek cały.

Patrzem: świat.

To sie mi, powiem wom, taki jasny dzień widzioł, hoć to ku wiecorowi bėło, jak nigda. Jo nigda, w samo połednie takiego jasnego światu późnij nie oglądoł.

Cud Pana Boga!

— No — pado Siecka — tuś! A cobyś drugi roz hań nie seł, bo my od rania kuli, kim my cie odgrzebli.

Jo im podzieńkowoł, nie pedziołek nic. Wiecór my zlecieli dołu, do Homer, popili my piwa s temi, co mie sukali. Bo to bėło w towarzistwie i jeden o drugiego stoł, coby my sie porombać dali jeden za drugiego.

Na drugi dzień rano, lem świt, jesce sytka spali, jo juz bėł hań.

— W samej tej dziurze?

— W same tej. Jo sie nie boł. Dostołek ten rude i sytka mi zozrościli. Jo se to nieroz przibacujem i meślem se, ze kiebyk beł duha straciėł, joby haństela bėł nie wyseł z-iwy. Bez picio, przez jedzenio, bez widėku, tak jako w grobie, jo hań beł kielkanoście godzin i jesce plugastwo piorgem suło na mnie, ani na kfile nie fciało ustać. Ale mozecie wiedzieć, co jo hań nie straciėł duha, kie jo sie w drugi dzień w samo to miejsce wróciėł.

S człowieke by niėmiało być nika źle, kieby u-

mioł duha utrzimać. Jak cie duk odstompi, to jus nogorse. Jo se to nieroz przibacujem i tagek se uwazował, bok i nieroz ze Sieckom z Maćke o tem radziéł, zeby trza duha w narodzie utrzimować. Coby niebéł bojący. Wygramodlas sie z bodejscego, ale sie nie bój! Kiebyk béł zginon, no to nic, a kiebyk béł po ten rude nie poseł, toby béła przepadła.

Na tle opowiadania Tomka Gadei z Polan.

PRZYPISKI (NOTATKA DO OPOWIADANIA »ZA SYTKO«.

Powstanie chocholowskie to zupełnie odosobniony, jedyny, sam dla siebie czyn w żywocie chłopów polskich, czyn, który nie osiągnął żadnego realnego znaczenia i niczego nie spowodował, dlatego wogóle mało znany, a potem zapomniany prawie zupełnie, a który jednak jest jednym z najpiękniejszych momentów historyi polskiego chłopa.

Szlachta galicyjska w 46 roku gotowała się do powstania przeciw Austryi. Trzech gorących patryotów, ksiądz Józef Leopold Kmietowicz urodzony w 1819 r. w Starym Sączu, podówczas wikary w Chochołowie; ksiądz Michał Głowacki, urodzony w 1804 r. w parafii Janowickiej w Sandeczczyźnie, podówczas wikary w Poroninie, a nadewszystko Jan Kanty Andrusikiewicz, orodzony w 1815 r. w Stopnicach Królewskich pod Limanową, organista z Chochołowa, powstanie ze swej strony, chłopskie, uczynić postanowiło i istotnie w Chochołowie do „poruseństwa" przyszło.

Kmietowicz i Andrusikiewicz trafili w Chochołowie na grunt podatny. Chochołów należał nie-

gdyś do królewszczyzny, później jednak nabywca od rządu austryackiego lasów tamtejszych zaproponował odkupienie ich chłopom, na co ci zgodzili się z radością i obrali pełnomocnikiem księdza Józefa Szczurkowskiego, proboszcza z Krosna, który fikcyjnie dla siebie lasy nabył. Od tego czasu rozpoczęła się niedola chochołowska. Ksiądz Szczurkowski zagarnął w oszukańczy sposób majątek chłopów*) i począł ich ciemiężyć, z rąk jego i jego niecnej rodziny dostali się Chochołowianie w ręce innego łajdaka, szlachcica, barona Borowskiego z Sieniawy, prostego zbrodniarza, który dziewki gwałcił, ludzi katował i więził, a nadto, kto mu stał zanadto na drodze, truł; polany i grunta gazdowskie kradł, prawa paszy zaprzeczał, a w razie potrzeby miał zawsze pomoc w miejscowych władzach austryackich i ich wojsku, w pobliżkim „cyrkule“ w Nowym Targu. Kulminacyjnym punktem tej szlachecko-niemieckiej antychłopskiej przyjaźni był maj 31-go roku, gdy do pędzonego na własną halę bydła chłopskiego służba barona Borowskiego strzelać rozpocząwszy, przeniosła strzały i na ludzi, tak, że kilku padło, a gdy zrozpaczeni chłopi „opryszków barońskich“ kamieniami odpędzili, baron Borowski zaskarżył w cyrkule chłopów, że „chcieli iść w pomoc powstańcom za Wisłę — i że on ich na chwilę poskromił“.

Przybył komisarz cyrkułowy z dwiema kompa-

niami piechoty i bez sądu, bez jednego zapytania się chłopów, wskazanym przez Borowskiego po 80 do 100 kijów dać kazał, „że aż z ławek krew ciekła i psy ją lizały... wielu ludzi w kalectwo popadło i wcześnie pomarło“.

Chłopi tak niewiedzieli, za co byli bici, że myśleli, iż za to, że do siebie strzelać nie dali.

Nigdy uprzednio i tym razem także nie znaleźli chłopi u wyższych władz austryackich żadnego zadość uczynienia, żadnej opieki, żadnej sprawiedliwości.

Rozgoryczenie tam więc było do rządu olbrzymie; żal słuszny i wielki; niechęć gwałtowna i przekonanie, że póty nie będzie lepiej, aż „cyrniawa“ ruszy na Niemców i pożenie tych „psiogłowców ku Wadowicą, ku Krakowu“. Chłopi jednak dopytywali się pilno, coby się stało „potem“, obawiali się bowiem, że gdyby „z pana obrano króla, a takiego, jak baron Borowski był, toby wtedy zamiast jednego pana w całem państwie, dwudziestu w jednej wsi mieli“. Co do najbliższych dworów koło Chochołowa, to te z paru wyjątkami trzymały z Austryakami.

Na rozkaz „kreiskomisarza“ z Nowego Targu wójci po całem Podhalu mieli każdego „podejrzanego“ chwytać i odstawiać za nagrodą 20 reńskich od osoby. Obawiano się emisaryuszy. Polecono zaprowadzić po wsiach specyalne w tym celu nieustające chłopskie warty. Otóż rzeczy te

wykonywane były bardzo ściśle w szaflarskich dobrach pana Uznańskiego, w zakopiańskich zaś pana Homolacza tak ściśle, iż oficyaliści jego jeździli i chłopów kontrolowali, na kary pieniężne za zaniedbywanie warty skazując.

Kontrolowali tem gorliwiej, gdyż kary ściągane z chłopów im się dostawały.

Rząd austryacki, dowiedziawszy się o spisku powstańców, chwycił się strasznej broni. Włożył chłopom w rękę nóż i kazał rżnąć. Zjawił się Szela, około 4000 szlachty i nieszlachty, byle w surducie, padło. Chłopi rżnęli „panów", lecz jakież były stosunki, gdy m o g l i u w i e r z y ć, że panowie ich rżnąć się zabierają!...

Czterdziesty szósty rok w Galicyi.

Na Podhale przyszły wieści, iż „lachy" (chłopi z dolin) panów mordują — koło Gdowa, koło Bochni, koło Tarnowa. Wtedy ksiądz Kmietowicz i organista Andrusikiewicz postanowili „iść". Było to w końcu lutego, 22-go i 23-go. Jednak nim wyruszyć zdołali, po pierwszych zagarnięciach rządowych pieniędzy i rozbrojeniach gęsto wówczas rozsiadłych posteruków straży skarbowej: urzędnicy austryaccy z żołnierzami i z chłopami z sąsiedniego Czarnego Dunajca napadli ich, raz odparci, ponowili napad z większą siłą wojskową, urlopnikami i znowu z chłopami z Czarnego Dunajca i Podczerwiennego, księdza Kmietowicza i organistę Andrusikiewicza poranili i zaareszto-

wali. Kilku ludzi z obu stron w tych utarczkach padło, do więzienia zabrano mnóstwo, torturowano ich strasznie, a — niestety — Czarnodunajczanie pastwili się nad więźniami niegorzej od Niemców. Uwięzionych gnano wśród tortur z Czarnego Dunajca przez Nowy Targ, Sącz aż na Spielberg. Cicha to, ale krwawa karta martyrologii polskiej.

Tak tedy powstanie, czyli „poruseństwo“ chochołowskie w samym zarodku stłumione zostało; wątpić niemożna, że gdyby było się rozwinęło, obok Bartosza Głowackiego z dolin stałby jakiś Wojtek Zych, czy Jędrek Kojs z gór, od Witowa, czy Chochołowa.

Chochołów albowiem miał bohaterską wojenną tradycyę. Jestto obok Białki najsłynniejsza sołtysia wieś na Podhalu, z nadaniami i przywilejami królewskiemi Batorego, Zygmunta III, Michała Wiśniowieckiego.

Ale gdy Białczanie, Nowobilscy sołtysi, głównie zbójeckimi czynami sławę zdobywali, sołtysi Chochołowscy od czasów Stefana Batorego niejednokrotnie w piechocie łanowej na polu bitwy krew przelali.

I ta dawna tradycya dostojna i pamięć „poruszeństwa“ zostawiła chochołowskim gazdom jakieś patryarchalne pierwszeństwo wśród siedzib gorali nowotarskich. Jest tam jakaś do dziś wyjątkowa powaga wielkich sołtysich domów, z olbrzymich tramów budowanych, jest majestat w

prawiecznych lipach koło kościoła, w typie starych gazdów i gaździn. Nie widzi się tam żbiczych i rysich oczu potomków zbójnika i strzelca. To gospodarze, rolnicy, pasterze, ludzie spokojni i dostojni. Ich nuta „chochołowska“ niema tej dzikości, jaką mają inne melodye podhalańskie. Kościół stał dawno, a Chochołowianie nie zrobili sobie w dzwonnicy „kasyna“, jak to uczynili zbójnicy w Białce, uważając, że to schronienie wygodne i bezpieczne, bo i na myśl nikomu łatwo nie przyjdzie i Pan Bóg blizko.

Postacie naczelników ruchu chochołowskiego, Andrusikiewicza i Kmietowicza, oraz sprzymierzeńca ich, Głowackiego z Poronina, zgoła nieznane i zapomniane, słusznie wydobył z pyłu w wybornej swej książce „Powstania Chochołowskie“ znamienity badacz historyi Tatr, dr. Stanisław Eljasz Radzikowski, z którego dziełka szczegółów powyżej przytoczonych zaczerpnąłem. Andrusikiewicz sam spisywał pamiętnik, dyktował go także Zygmuntowi Kaczkowskiemu; przytem pozostało po nim sporo z więzienia pisanych listów. Była to dusza gorącą i zapalna, urodzony bohater. Podobnym był ksiądz Kmietowicz, asceta, wzór dobrych obyczajów i moralności. Najciekawszym jednak z tych ludzi jest ksiądz Głowacki, indywidualista na wskroś, polyglota mówiący i piszący wszystkiemi narzeczami słowiańskiemi, kazania mówił po chłopsku (podobnie mówił je potem słynny

ksiądz Stolarczyk w Zakopanem), wiersze pisał, nieznany w kraju, ale znany słowiańskiemu Kollarowi i czeskiemu Safarzykowi, o tak przeczulonej duszy, że gdy raz z kazalnicy na jakiegoś obcego człowieka spojrzał: zemdlał. W kilka dni później dowiedział się, że ten człowiek popełnił był dopiero co morderstwo. Poezye swoje spalił, śmierć sobie przepowiedział i to w Sączu; tam też, uwięziony zaraz po Andrusikiewiczu i Kmietowiczu, torturowany, w szpitalu w koszarach jeszcze w 46 roku z wiosną życie zakończył. „Umarł w kajdanach".

W kajdany zakuto ciężko rannych Andrusikiewicza i Kmietowicza. O Kmietowiczu biograf jego powiada: „godzien w poczet męczenników być policzony", tyle zniósł katuszy w więzieniu.

W jaskrawem przeciwieństwie do tych księży stanęli Ojcowie Jezuici. Jezuita miał bezpośrednio po wypadkach 46-go roku, takie kazanie do Chochołowian, „jak kiebyśmy nowienksymi zbójcami byli. W tej kwili coby sie była ziem ostompiła, ochotnie by był pojeden skocył w grób" — pisane słowa współczesnego gazdy.

Tak w krótkim zarysie przedstawia się jedyny fakt w historyi chłopa polskiego, czyn na tle krzywdy od księdza, szlachcica i Niemców, rozpoczęty przez organistę z pod Limanowy i wikarego z Sącza, zapieczętowany kazaniem w Chochołowie.

POLOWANIE SABLIKA

(Z Legendy Tatr).

Już się ku wiośnie brało, śnieg w dolinach tatrzańskich ginął, w cieniu trwał jeszcze, a w słońcu w błoto się przeistoczył. Dziką i pustą doliną szedł stary Sabłik z ruśnicą przez prawe, łukiem przez lewe ramię, z ciupagą w ręku i z nożem za pasem.

Czekał on od jesieni zimę całą na ten czas. Ani go straszliwa nędza Podhala, ani bieda we własnym domu od myśli nie odwodziła. Sablik pasem brzuch głodny ściągnął, na gęślikach brzęczał, gdzie się dało gorzałkę pił, śpiewał, gwizdał i wiosny czekał. A gdy się już ile tyle ociepliło, nie powiedziawszy nawet żonie: ostań z Panc Boge!— znikł samotnie.

Rozkosz niewypowiedzianą, radość niewypowiedzianą odczuł, gdy znowu rzemienie od kierpców potężnie przykręcał, nie na chód dzienny, ale na długie dni wędrówki; gdy znowu ciupagę w garści poczuł, która twardą stalą do twardej jego dłoni na długie dni przyrosnąć miała; gdy obuwał się w portki na to, aby może tygodnie całe ich nie ściągać; gdy to, co miał na sobie i przy sobie, na długi czas nieodzielnie z nim być miało, być

jego wszystkiem i wystarczającem. Jego nóż doświadczony, jego dobrze obejrzane krzesiwo, które znajdowały się z nim tylekroć w pustkach górskich i znowu tam znaleźć się z nim miały, dawały mu rozkosz, jaką czuć może orzeł, na szpony swoje spozierający. Z radością stanął na zawiązanych kierpcach nie po to, aby do karczmy, albo do sąsiadów zabiedz, ale aby śliznąć się na nich, gdzie ludzkie oko często nie sięgło nigdy przedtem. Stanął na tęgich podeszwach ze skóry, wesoły.

Znowu czekały go noce pod niebem gołem, watry ze świeżego rąbania, smolne, pełne dymu i trzasku wilgotnych gałęzi, owo samotne pożywianie się strawą skąpą, lub obfite obłowy polowania, wody pite ustami z potoków, lub ze strug, sączących się między głazami. Sablik cieszył się na ową smolną polepę, którą poróść mu miala twarz, szyja, kark, ręce, że stać się miał nieledwie częścią lasu, czemś dzikiem, odyńcom, jeleniom, i smrekom podobnem i pokrewnem. Znowu oczy jego, ręce i nogi miały mu być wszystkiem. Sablik miał znowu, jak od lat kulkudziesięciu, być sam z sobą, zupełnie i wyłącznie, i radował się na to, jak się cieszyć może orzeł o łowach swoich myślący.

Pogwizdując i pośpiewując oglądał swój sprzęt podróżno-strzelecki, badał go i próbował. Szedł wyzywać postacie: drogi błędne i straszne, lasy i góry, zwierza groźnego i ludzi wrogich,

strzelców przeciwników z za Tatr niemniej groźnych; szedł żyć całą pełnią swej junaczej, drapieżnej i rycerskiej duszy, zagrążyć się w Tatrach które go wychowały.

Szedł na wicher, deszcze, śniegowe fujawice, spiekoty, mroki mgielne i nocne, na znój, pot, na trud swoich kolan, na ślizgie spiczaste kamienie, zdradne upłazy trawne, ostre sęki drzew, spadziste utrudzające ubocze i turnie ziejące przepaściami. I śmiał się sam do siebie. Albowiem w tem wyrósł, to umiłował i nie rozumiał życia bez tego. Stary Sabłik kochał zdyszenie się swych piersi, spojrzenie szukające oparcia dla stopy, kochał rozciągnięcie się swego ciała na palcach rąk trzymających się ułamków skały i palcach stóp. opartych w szczelinie nad otchłanią, kochał szum piargów uwożących się mu z pod kierpców, kochał wysilony zarzut ciupagi na konar w niechcącym puścić w górę gąszczu, krępującym głowę, ramiona, piersi, kochał wrąb jej w strom wyniosły, aby spocząć obok w kraju rysia i żbika, żmii i kuny leśnej. Drogą mu była ojczyzna jego duszy myśliwskiej i wędrownej, duszy skrzydlatej.

Szedł, aby mu wiatr w oczy i szyję gołą bił, na rozkosz nozdrzy i płuc do zimnego pędu powietrza nawykłych, szedł na radość rąk, gdy w rękawy od koszuli wiatr się wmyka, na pełnię życia skóry, gdy w twarz rzęsny, bystry deszcz siecze i jedna jej cząsteczka niezmyta, nieprzenikniona wo-

dą nie pozostanie. Szedł odwiedzać to, co znał, kąty lasów przepadłe, moczary skryte w gąszczu, spady wód szumiące i koleby myśliwskie, leże ciche i tajemne, gdzie długo po odejściu strzelców ostrożna liszka, albo kuna skalna, wietrząc i spozierając dookoła, resztek słoniny szuka.

W Dolinie Piardzystej, przy tym niżnym stawie, jest hań kolibecka wyrubana w skale...

Szedł znaleźć to, co zawsze było niespodziane, gdzieś rogi kozicy przez rysia pożartej, lub lawiną strąconej, gdzieś ślady walki zimowej wilków z dzikami, lub pojedynku niedźwiedzia z odyńcem po którym często dwa szkielety obgryzione przez drapieżników pozostawały; często z pod śniegów wytajał trup człowieka, strzelca, zabitego przez współzawodników, zaskoczonego kurniawą i zawalonego śniegami, czasem skarbów poszukiwacza, co z turni odpadł, z którym się turnia usunęła, że zginął, lub zabitego tajemną ręką — złodzieja, albo ducha, co skarbów strzegł.

Całą historyę strasznej ponurej, niezwładanej i nieowładniętej zimy tatrzańskiej czytał Sablik na wiosnę, gdy śniegi stopniały. Gdzie lody skałę rozsadziły, gdzie śnieg las połamał, gdzie wichry w nim spustoszenie porobiły. Szlakował niedźwiedzia, gdzie spał, jelenia, gdzie ku źródłu chodził, rysia, kędy kwiaty do róż podobne rozwitych łap swoich odciskał.

Cieszył się na świst strzały swojej, na huk swej

rusznicy, z której gładkiej lufy kula wartko i śmigle a celnie leciała. Cieszył się na mierność swej ręki, na przykład twarzy do kolby, oka zmrużenie. Cieszył się na stuk swego toporka w ciszy gór i lasów...

Hej! Ciupaga! Z wyostrzonej stali!...

Sablik czuł się cały w sobie, cały przez siebie, skończoną czuł się istnością, tak wcięty w Tatry, jak bywa słup wbity we wodę, nad któremi jedna powierzchnia przepływała.

Tak niknął z wiosną od pół wieku, a gdy po tygodniu, dwóch, trzech, czasem po miesiącach całych do domu wrócił, znowu z Janosikiem Nędzą na wyprawy, lub na przeszpiegi szedł.

Jak gazdowstwo się wiodło, jak sobie żona, niegdyś piękna Tereska od Walczaków ze Skibówki, dawała rady, on o to niedbał. To nie było jego życie.

Rusznicę Sablik wziął, ale prochu tylko na kilka nabić w rogu, bo go koło domu wypsuł, łuk niechybny starodawny przez schylone wiekiem barki przewiesił, i ruszył w góry, orzeł stary na łowy.

Szedł ku dzikiej, pustej dolinie Kościelisk. Ledwo minął las, co ją zasłaniał i drogę nad Dunajcem, kędy owce na hale, na Smytnią, w Ornak, w Tomanową, na Pyszną szły, kędy z hal siano i nawóz zwożono, a za królów Zygmuntów górnicy do kopalni srebra i żelaza trakt był, pośród odciśniętych na śniegu tropów sarn, jeleni, lisów,

kun, wiewiórek, wyder i wilków ujrzał ślad przechodniego dzika, który snadź złamaną od kuli lewą nogę zadnią powlóczył i ślady czterech niedźwiedzi, dwa wielkie, zwaszcza jeden ogromny, i dwa mniejsze, z tych jeden większy.

Popatrzył się i ozwał się sam do siebie:

— Dwa stare, niedźwiedzica z młodym i piastun.

Przypatrzył się bacznie odciskom największych łap na wilgotnym śniegu.

— On!

Poznał go Sablik. Ta sama pięta, te same palce, te same pazury. Przyłożył do śniegu ciupagę, gdzie miał naznaczony znak długości i szerokości tych łap wzdłuźć i syrzć. On był.

He, Boze, dajze sie ś nim zejść!

Siedm dyasków zjadło aj zjadło, zéj dy sie mi widzi, że jesce urósł. Hoć temu bedzie moze telo, jako mnie...

Sablik nie pamiętał już dokładnie, odkąd za „nim“ chodził: zdawało mu się, że od samej wczesnej młodości, odkąd polować zaczął.

Sablik go widział i uznał, że nie było godniejszego w Tatrach niedźwiedzia, ani nie będzie, chyba za trzysta lat. Jak się Janosik Nędzów trafił jeden na całe Tatry i od czasu Toporów Łamiskały i Walilasa z Hrubego chłopa takiego pod Tatrami nie było, tak się i ten niedźwiedź trafił i drugiego takiego niemasz. Na chłopa i na niedź-

wiedzia trza czekać. Gawiedzi jest dość, ale chłop coby był jak się patrzy, a i niedźwiedź, czas minie.

Widział go Sablik kilka razy i strzelał doń. Ale czy chybiał zawsze, czy tylko po kudłach kulą osmędził, nie mógł poznać, bo nigdy kropli farby na śniegu, ani na rosie, czy mchu znać nie było.

Sablik w bądź co nie wierzył, ale już czasem przypuszczał, że niedźwiedź przysady, sposoby miał, jak czarnoksiężnik.

Znali go i inni strzelcy, Jędrzej Wala, Sieczka Maciek, Sobczak Staszek i jego ojciec Sobanek, Samek Wojtek, Symcio Tatar, Jarząbek Jasiek z Zakopanego, znali go Tyrałowie, Marduła Józek z Polan, Wojtek Bukowski z Pająkówki, strzelcy najsławniejsi, ale nie radzi nawet mówili o nim. Bo to potwora była tak straszna, że im serce w piersiach miękło i nieraz go koło siebie puścili, nie strzelając, a z widłami myśliwskiemi i toporem, czy maczugą żaden by się przed nim stanąć nie ważył. Woły on najpotężniejsze ciosem łapy zabijał, a tak zuchwały i odważny był, że gdy go w Zuberskiej Dolinie za Rohaczami woły gonić zaczęły i na sporą skałę nagnały, stamtąd ze skały na nie skoczył i po grzbietach im, jak po moście wichrem przeleciał, straszliwe tylko krwawe bruzdy na mięsie zostawiwszy. W ten sposób do lasu uciekł i tej jeszcze nocy dwa woły z tego stada ubił.

Czyniono na niego sieci, stawiano oklepce żelazne, kopano doły — obchodził.

Sablika myśliwska dusza płonęła do tego niedźwiedzia. Abo ja twój, abo ty mój — myślał. A choć towarzystwo myśliwskie lubił, z tym niedźwiedziem samotnie się tylko spotkać pragnął, aby z nim nikt rozkoszy walki i chwały zwycięstwa nie dzielił, a jeśli ulegnie — dziś, czy jutro to jedność.

A nie wątpił, że przyjdzie taki dzień i taka godzina, kiedy się oko w oko zewrą — na śmierć i życie.

Stary Sablik nie bał się potwora, bo wogóle nie bał się śmierci. Urodzisz się bez twojej woli, żyjesz i umrzeć musisz. A co potem, o to się nie kłopocz, bo to darmo, nie dowiesz się, a potem będziesz wiedział. Niebyło o czem myśleć. Zwierz zdechnie, drzewo zgnije, człowiek umrze. Tak musi być.

Dziką pustą doliną Kościelisk nad wodą, aż ku źródłu, gdzie się woda w dwie strony dzieli Sablik tropem niedźwiedzim postępował, a trop to był z nocy. Ale nieopodal za źródłem tropy się dzieliły: niedźwiedzica z młodemi poszła w górę na prawo, w ubocz, on poszedł samotnie dalej doliną. I Sablik poszedł za nim.

Dzień był cichy i mgła górę przysiadła, lecz tak cieńka, że słońce świeciło przez nią przyćmione i ponad nią wysoko widać było koło światła w szeżodze, w oćmie i zatajeniu, jakby w usidleniu zamroku.

Niedźwiedź skręcił na Smytnią, na lewo prze-

szedł tuż koło pustych jeszcze szop juhaskich, wstąpił na ubocze lesiste, i drąc się między wykroty, przełażąc przez skały, sterczące ze śniegów i w śniegi zapadając, przebrał się ku wieczorowi już do Doliny Kamiennej pod Czerwne Wierchy. Sablik zmiarkował, że człowieka zaczuł i ucieka przed nim.

Uradował się jego duch i miał to sobie za dobrą przypowieść.

W Kamiennej Dolinie trzeba było nocować.

Sablik wynalazł kamień wielki z małem wydrążeniem na wierzchu, ułożył chrustu i drzewa kosodrzewinowego na ognisko, skrzesał ogień i w płonącą watrę włożył skałkę, do dołka zaś w głazie nalał wody i nasypał mąki, której odrobinę z domu wziął do woreczka, a gdy się skałka rozpaliła, wsunął ją we wodę. I była kluska, którą gorzałką popił.

O sól nie pytał.

Potem watrę nabił tęgą, kosodrzewiny naciął na zapas na noc i legł przy ogniu na mchu.

Nad nim zapaliła się noc tysiącem gwiazd i sierpem miesiąca, co z za turni się dobył. Wokoło zaś były olbrzymie kamenne ściany, korytarze i zakręty, nad któremi się piętrzyły pod niebo mury, podobne do twierdz i baszt wapiennych turni. Myśl Sablikowa mimowiednie błąkała się po tych korytarzach, przepaściach, grotach odsłoniętych i pieczarach bez sklepienia niezmiernej wielkości, gdzie

mogły spoczywać od prawieków żyły złota i srebra, lub skarby, zakopane przez zbójników. A gdy go, wśród cichego szumu nocy górskiej i grzmiącego od czasu do czasu huku urwanych głazów i spadających lawin śnieżnych kędyś we wysokościach, naszedł sen: śniło mu się, iż ze skrzydłami u ramion wędruje po Kamiennej Dolinie i ciupagą skały rąbiąc, złoto z nich wyrąbuje i pod nogi sobie zgarnia.

Gdy się obudził, jeszcze ciemno było, lecz po zimnie poznał, iż ku dniowi się zmienia. Dorzucił patyków i gałęzi kosodrzewinowych na watrę i ręce zabijać zaczął, by się ogrzać.

A już olbrzymie ciemno-modrofioletowe cienie zaczęły się słać po skałach i mrok nocny tajać zaczął, tak, iż gwiazdy zwolna w oczach gasły, a niebo szarzało.

Napił się Sablik gorzałki i świsnął lekko przez zęby.

Warzyć jeść czasu nie było, co zostało z wczorajszej kluski na zimno zjadł, proch pod krzemień podsypał i z pierwszym brzaskiem ruszył z legowiska.

Wiedział on, że niedźwiedź w dolinie nie nocował, ale śnieg nie prószył i ślady nie zakurzył, łatwo ją znalazł.

Het popod turnie Małołączniaka drzeć się Sablik nad przepaściami wisząc po śniegach musiał, ale sobie powtarzał: kiedy nie urwał się on, nie ur-

wem sie i ja, dy ja ciężejsy, ake sie jemu w głowie nie zawracało, to sie i mnie nie powinno — i koło południa za niedźwiedziem, który znowu na południe ku Węgrom wykręcił, między Małołączniakiem a Kopą Kondracką przez Jaworową Dolinę do Wierchcichej zszedł.

Tu otoczył go tak ogromny las, że niebo ponad nim zniknęło.

Ale dzień był słoneczny, gorący prawie i wiatr ciepły od Liptowa wiał, tak, iż las pachnąć już zaczął, a i śniegu mało w nim było. Rozszerzyły się Sablikowe płuca radośnie, że znowu po długich miesiącach na węgierskiej stronie Tatr się znalazł, na tej stronie pięknej i do miodu podobnej.

Głód był, dało się jednak strzałą śmigłą jarząbka ze smreka strącić, Sablik obdarł pierze i surowo piersi zjadł i barki i udka obgryzł — nie było czasu piec. Albowiem niedźwiedź w las się wszył i Sablik czuł, że nie jest daleko i że poza dolinę nie wyszedł.

Jakoż rysim chodem za śladą popod konary często na brzuchu się sunąc, nagle zatrzymał się. O jakie pięćdziesiąt kroków w kotlinie niedźwiedź na zadnich łapach wspięty stał i jarzębinę zeszłoroczną zmarzniętą łapami do kupy z gałęzi zgarniał.

Sablik patrzał chwilę z gęstwiny.

Potwornego ogromu, czarny, wyciągnięty prosto zwierz wydawał się jak drzewo. Zasłonił sobą

kęs przestrzeni, bo kotlinka była nie zabita smrekami, lecz wolna nieco od lasu. Tram tylko ją przewalił na poprzek spróchniały.

Niedźwiedź nie czuł człowieka; stał poniżej Sablika i wiatr od niego zaciągał.

Sablik odwiódł po cichu kurek, proch świeży podsypał na panewkę i kolbę do twarzy przycisnął, pod łopatkę na komorę wymierzywszy.

Ale nie strzelał. Wiedział on, że drugi raz w życiu tej rozkoszy mieć już niebędzie, jak niemiał jej nigdy dotąd, pół wieku życia przepolowawszy. Rozśpiewała się w nim dusza hymnem mordu, zwycięstwa, tryumfu, potęgi. Z lufą wymierzoną przed siebie pod nawałą konarów do ziemi obrosłego smreka leżąc, przez muszkę na lufie patrzał i był jakoby pijany widokiem niedźwiedzia i świadomością prochu, pakułów i kuli w rusznicy.

Starość od niego odeszła.

Wtem niedźwiedź zwrócił ku niemu głowę. Małe jego skośne ślepia zamigotały, przestał jarzębinę zgarniać i łapy zatrzymał w ruchu na gałęziach — w tej chwili Sablik za cyngiel pociągnął.

Niedźwiedź wzdrygnął się, beknął i na przednie łapy spadł.

— Dostał, bo zbecał — przemknęło przez głowę Sablika.

W tym momencie zasłonił mu się przed oczyma świat — olbrzymia czarna masa waliła się ku niemu, łamiąc konary. Ale Sablik z lekkością pta-

ka z pod gęstwy się wysunął i gałęzi sąsiedniego smreka dłońmi się uchwyciwszy, w susie między nie się dźwignął i wspinać zaczął. Z rykiem niedźwiedź dęba stanął, lecz go już nie pochwycił. Rzucił się więc na pień i włazić zaczął.

Sablik wspinał się coraz wyżej, myśląc: kim-sie tyta wygramodlas, to ja jus bede na wierhu...

A duszę jego przenikała radość walki

Gdy niedźwiedź w połowie drzewa był, trzasnął pod nim konar i zwierz runął na trawę.

Jak wściekły obiegał drzewo, wspinał się na zadnie łapy, ryczał i pianę z krwią z pyska toczył. Sablik miarkował, że go niedobrze, choć ciężko trafił. Mógł długo żyć.

Rusznicę Sablik zostawił w gąszczu, ciupagę pod drzewem. Ale zdjął łuk z ramienia, strzałę z pod boku ze skórzanej pochwy wyciągnął i wymierzywszy w kark niedźwiedzia ugodził.

Raz po razu z piętnastu strzał. które wziął z domu, trzynaście w cielsku niedźwiedzia utopił, dwie sobie zostawiając, aż wreszcie zwierz, czy raną zmożony, czy pragnieniem spieczony, czy od bólu od strzał z pod drzewa odstąpił i w las zapadł.

Sablik natychmiast zsuwać się ze smreka zaczął.

— Pockaj weredo — mruczał — wlazbyś mi ka, zdechnon byś i zgnił... Nie na to my sie pół wieka sukali... Ckaj!

Chwycił naprzód ciupagę, poczekał chwilę, po-

czem rzucił się ku ruśnicy i nabijać ją począł.

— Na niedźwiedzia kula gaździna — mruczał przybijając ją lekko stemplem. — Na niedźwiedzia niémas nad kule...

I odnalazłszy farbę, kroczyć za nią począł.

Przy wodzie, poniżej w jarze, był zwierz i ranę broczącą ziemią z mchem dartą zaciskał. Lecz gdy Sablika ujrzał, ryknął straszliwie i przed siebie się rzucił. Odskoczył Sablik w tył. Nie strzelał z góry, bo w pędzie bał się nietrafić w krzyż, albo w mały mózg, po którego czerepie kula ześlizgnąć się mogła.

Stanął i czekał, aż niedźwiedź wzniesie się przed nim na zadnie łapy.

— Teraz abo ty mój, abo ja twój — myślał przyłożywszy strzelbę ku zuchwom.

Jak kiedy płomień podczas pożaru dach przeżre i z kłębem czarnego dymu z wichrem ponadeń wybuchnie, tak z czerwonym błyskającem biało-krwawemi kłami pyskiem, z jęzorem krwawo-spienionym i ślepiami lśniącemi wypadł ów czarny niedźwiedź na brzeg, rwąc z pod łap kamienie i widząc strzelca przed sobą, na tylne nogi się wspiął; a w tej chwili z rury Sablikowej ruśnicy prysnął ogień i dym i w grzmocie strzału bestya zwaliła się na piersi i jęzor wysunąwszy, rozszczerzyła łapy bezwładnie.

Krew buchnęła z paszczęki, posoka spiekła — konać począł.

Naówczas Sablik, o kilkanaście kroków stojąc, oparł rusznicę o smrekę, ciupagę na konarze zawiesił, wyjął z rękawa czuchy gęśle, kołki zawilgłe popluł i zębami przykręcił, smykiem i palcem popróbował i o bok lewy niżej ramienia oparłszy, grać niedźwiedziowi począł.

Napełnił się cichy, nieprzejrzany, samotny las chrapaniem konającego zwierza i Sablikowem graniem. Dzikie, rwane, zgrzypiące, ostre tony drgały i plątały się z sobą ponad głową zwalczonego potwora. Huczała w wąwozie rzeka po głazach, jakoby tło do tej muzyki poddająca.

Zwierz chrapał i charczał okropnie, krew z pyska wylewając, Sablik zaś grał. Oczy jego utopiły się w kudłatym łbie zwierza, jako mgliste gwiazdy w jesieni toną w czarnym stawie tatrzańskim.

Idzie se Sablicek, drózeckom sie wiedzie,
budzie sie prógował z luptoskim niedźwiedzie
z juptoskim niedźwiedziem, z śpiskom niedźwiedzicom,
w lesie pod Furkotem, popod Krzesanicom.
Niedźwiedzica śpiska swe młode ucyła:
waruj sie Sablika, on gorsy jak stryła!
Co ja sie nahodzieł, potoków na brodzieł,
zakielak niedźwiedzia na serce ugodzieł.
Co ja nie nahodzieł i tom i tom stronom,
zakiel my sie ześli w ciasnem miejscu oba,
Hucała dolina, dygotał wirsycek,
kie poseł za pasy z niedźwiedziem Sablicek.
Słońce sie pytało, w dolinie patrzało,
cy sie hań za pasy biere skała z skałom?

Hmury sie pytały, niebe uciekały,
bo sie im widziało świat sie wali cały!
Pan Jezus sie patrzy — pre Boha żiweho!
Sablik to poluje, chroniem go od złego!...

Lekcej się niedźwiedziowi konało.

Zapamiętał się Sablik w swej grze. Jakoby duchy wszystkich pomordowanych przez siebie niedźwiedzi zwoływał na pogrzeb króla Tatr, z Gorców, od Babiej Góry, z Kralowej Hali i przepastnego Dziumbiru o leśnych szczytach, gdzie polował. Z pod Rohaczów i Wołowca, z Jarząbczej, z Pysznej, z Tomanowy Polskiej, ze Strążysk i dalej z lasów Roztoki, z Pięciu Stawów, z Koprowej, z Ciemnych Smreczyn, z Pod Wysokiej, zewsząd z Tatr wołał duch pobitych przez potworów. I otoczyły kołem swego brata, straszne, groźne, posępne.

Przybywały jeden po drugim, bo Sablik wierzył, że duchy ich tam pozostają i krążą, kędy im śmierć im zadano. Przybywały i wieńcem otaczały ostatniego, który do nich przybywał. Piąty, dziesiąty, piętnasty i dwudziesty, dwadzieścia jeden widm z czerwonemi ranami w piersiach, na łbach, na grzbietach i w brzuchach poczwarnych.

Witajom go — myślał Sablik.

I żegna go las...

Wtem niedźwiedziowi pysk posunął się po ziemi.

Naówczas Sablik schował gęśle do rękawa, po-

czekał chwilę, a potem, duży kamień podjąwszy, w łeb nim niedźwiedziowi gruchnął.

Nie drgnął.

Więc ciupagę z gałęzi zdjął i młodego smreczka ściąwszy i okrzesawszy, śmiało przystąpił i z niesłychanym trudem tyle olbrzyma podważył, aby mu nożem brzuch spruć i parę z cielska wypuścić. Poczem szybko watrę złożył, ognia skrzesał i wyciągnąwszy z boku sztukę, na patyk ją nadział i piec nad ogniem począł, podstawiając kapelusz, by doń sadło kapało. A gdy się naskwarkzyło pełno, sadło wypił i jeść, nożem przy ustach urzynając mięso, począł.

Poczem tęgi płat mięsa skórę odzierając, nożem i palcami i zębami ją przytrzymując, iż koszulę i pas krwią ubroczył, z pod grzebietu wyciął i do torby wrzucił, olbrzymie zaś niedźwiedzie ścierwo łamanym i ciętym chrustem, gałęziami, mchem przykrył, aby go ni strzelcy, ni zwierz dziki nie znalazł. Urosła nad zwierzem mogiła. Do wsi się Sablik z powrotem zabrał, by z Tyrałami i Bukowski, powrócić i poćwiartowane mięso, oraz skórę zabrać.

Aby jednak ślady zmylić i strzelcom innym drogi do niedźwiedzia nie wskazać, głazami potoku z pod śniegów i z lodów skalnych płynącego iść począł, kierując się ku przełęczy Goryczkowej, co Polskę od Węgier dzieliła, doliną Cichą od Hali Kondratowej i Kalatowej, w przełęcz wynio-

słą między trawiastemi kopicami i szczytami położoną, kędy świstki kopały gniazda i gdzie się lubił pasać jeleń z lasów węgierskich lub z pustek z pod Giewontu i Kopy Magóry wyszły.

Długi czas potokiem, z głazu na głaz skacząc, z kawałem niedźwiedziny we worku, szedł, aż się w las wkroczyć zdecydował.

Wola pérć w gęstwie go wiodła, gdy głos ludzki usłyszał. Zatrzymał się, strzałę i łuk w ręce ujął i w gęstwinę się skulił.

Nie mylił go słuch wyćwiczony — ludzie mówili. Zbliżali się dróżką leśną, w skos z percią się schodzącą.

Sablik przyczaił się. Już odróżniał głośną gwarę — to byli strzelcy liptowscy.

Serce poczęło mu bić mocno, lecz powoli uspokoiło się. Oparł strzałę na cięciwie i czekał. Było ich tylko dwóch.

Niedługo wyszli. Sablika w gąszczu nie zauważyli, minęli go szli dalej. Rusznice mieli na plecach. Szli na kozice, jelenie lub sarny.

Sablik mógł ich przepuścić i poczekawszy ruszyć w przeciwną drogę, by się nie spotkać. Ale wązka twarze jego ściągnęła się, bruzdy na niej wyżłobiły, usta skrzywiły się i zbiegły ku dołowi w kątach, straszliwa nienawiść, zawziętość, a zarazem okrutność niewypowiedziana wymałowała się w mglistych starych oczach. I uśmiech straszny na twarz wystąpił. Niewiedzieli nic, szli spo-

kojni, ufni, bezpieczni. Sablik śmiał się w duchu. Naciągnął łuk, zmierzył do oka i ze świstem wypuszczona strzała w tył głowy między kapelusz a kołnierz barankowy serdaka ugodziła strzelca, idącego po lewej stronie.

Z jękiem zwalił się na twarz, rozkrzyżowując ramiona.

Drugi strzelec zwrócił się, zerwawszy rusznicę przez głowę, ale w tej chwili drugą strzałę Sablik wpakował mu w gardziel.

Krew go oblała, zatoczył się, rusznica mu z ręki wypadła i runął plecami na drzewo, poza nim stojące.

Wtedy Sablik z gęstwy z ciupagą w ręku wyskoczył.

W mgnieniu oka przypadł ku wspartemu o drzewo Liptakowi, a temu strach śmiertelny unieprzytomnił lice i szept śmiertelnego lęku wydarł mu się z ust:

— Sablik!...

Jedną chwilę patrzył nań Sabilk, któremu siwe włosy zmierzwiły się od igieł smrekowych i polepiły od smoły — chciał widzieć trwogę nieprzyjaciela, błagalne o życie oczy, drżenie ciała wrogiego przed wzniesioną ciupagą.

Napawał się. Pił rozpacz, strach, bezsilność mądremi, mglistemi oczyma, poczem śmignął siekierą i czoło Liptakowi rozłupał.

Ten z wrzaskiem się okropnym zwalił i otrzymał pięć uderzeń na ziemi.

Zabitego już Sablik rąbał.

Poskoczył potem ku towarzyszowi, który z mózgiem przebitym martwy leżał.

Wówczas Sablik obrabował strzelców liptowskich: zabrał im rogi z prochem, kule, noże i żywność, a strzelby pochował pod głazy, aby je później zabrać, bo ciężkoby było. Wydarł strzały swoje z ran strasznych, obtarł o trawę i w pochwę schował.

I poszedł dalej.

Raźno mu się szło, lekko, rzeźwo, odmłodniał. Pojadł niedźwiedziny, popił niedźwiedziego sadła, Liptaków pobił...

Wychynął już lasu w ubocze, a wówczas obejrzał się za się.

Samotny był.

Gołe Wierchy były poza nim, Wielka Kopa, Tomanowa Polska, Węgierska, Czerwone Wierchy od południa wokoło, góry ogromne, pod nim las, a nad nim niebo.

Roztężyła mu się pierś, rozwarła szeroko.

Czuł się królewski, wielki, niepokonany.

Poznają go strzelcy, co towarzyszów swoich pomordowanych znajdą. Poznają go po okropnej celności strzał. I pójdzie znowu o nim wieść na Wyhodną, Kokawę, Prybilinę, Mięguszowce, Hra-

dek, Wielką, — Sablik był, ludzi pobił, Sablik chodzi po górach!...

Roześmiał się.

Jak okiem sięgnąć, samotny był, pan Tatr, kozic, jeleni, niedźwiedzi i strzelców liptowskich.

Nieprzemierzona pustynia powietrza w twarz starą, bruzdami pożłobioną, wiatrem mu uderzyła.

I zwrócił się ku przełęczy w ubocz, do góry, dobywszy gęśliki z rękawa czuchy i nucąc nad opartemi pod ramię:

> Sablik se zaśpiewał,
> Krywań mu odpedział,
> bo o jego sprawie
> nik iny nie wiedział...

Nieprzemierzona przestrzeń powietrza słuchała.

A oto opodal, niewietrząc niczego złego, stado kozic igrało. Stare pasły się po odtajanej od słońca ku południowi trawie na uboczy, od czasu do czasu pozierając na młodzież, która cuda broiła. Jedne w szalonem tempie ścigały się po upłazach, inne się bodły, na kolanka przyklękając i pod brzuch różkami celując, jak zwykły czynić capy, walczące w jesieni w czas rui, drugie zjeżdżały po śniegach w dół, na zadach przysiadając i podbijając się nad urwiskami na cztery nogi, jak sprężyny stalowe odgięte. Niejedną śnieg skręcił i zwiózł na grzbiecie, przecie zawsze w porę się dźwignęła i podbiła.

Naliczył ich Sablik jedenaście starych i ośm

młodych, godny kerdel, dziewiętnaściore. Lecz gdy kombinował, czyby je podejść mógł, nagle z góry, jakby z obłoków wypadły, orzeł na stadko uderzył. Nim zbiegły się, nim skupiły i rogi nadstawić zdołały, już na rocznego capiorka runął i szponami mu boki obłapił.

Ale podnieść nie zdołał. Cap zaś w przechodzącym wyobraźnię ludzką pędzie, począł biec na oślep przed siebie, i widział Sablik, jak orzeł skrzydła rozpiął i unoszony gnał nad przepaście. Szponów wyrwać głęboko wbitych nie mógł, dzióbem kuć ofiary wśród rozpacznego pędu po łbie nie zdołał. Sus za susem lecał cap w dół, do skrzydlatego potwora podobny. Już uderzył tak strasznie skrzydłem orlem o turnię, mimo przebiegając, że złamać je musiał, bo skrzydło orłowi zwisło. Lecz snadź w oczy krzywym dzióbem ptak uderzyć potrafił, bo oto bez kierunku, na oślep capa Sablik gnającego zobaczył w urwiska, gdzie gruchnął z krzesanicy na upłaz i toczyć się poczęli w dół wśród olbrzymich wahadeł skrzydeł orlich, aż znikli Sablikowi z przed wzroku.

— No niegze ta — pomyślał Sablik — przydziemé po niedźwiedzia jutro, tó ig ta najdziemy w dolinie, jak ig liski i rysie nie zezrejem do znaku.

Kerdel kozic pierzchał wichrem ku szczytom nad Kasprową Doliną.

Koniec Tomu V.

SPIS RZECZY

		K
Konczyński T.:	Marya Leszczyńska, Ilustrowane . .	22·—
	„ „ wydanie zbytkowne i oprawne	36·—
	Nad głębiami, Powieść	6·—
	Powrót wiosny, Komedya	3·50
	Smiertelny bieg, Powieść	8·—
Marivaux:	Komedye, przełożył Boy (2 tomy) . . .	9·—
Perfall A.:	Grzech, Przekład Cz. Kędzierskiego . .	1·80
Piotrowski A.:	Od Bałtyku do Karpat, Bajki z ilustracyami A. Piotrowskiego	8·—
Rabellais F.:	Wielkie a nieocenione kroniki	8·—
Rousseau J. J.:	Wyznania I przełożył Boy . . .	8·—
	» II.	8·—
	» III. »	8·—
Tetmajer K.:	Anioł śmierci, z ilustr. P. Stachiewicza (w druku)	— —
	Erotyki	wyczerpane
	Judasz, Tragedya	7·—
	Koniec Epopei, Epilogu	7·—
	» » ilustrowane (w druku)	—·—
	Na Skalnem Podhalu I.	4·—
	„ „ „ II.	4·—
	„ „ „ III.	4·—
	„ „ „ IV.	4·—
	„ „ „ V.	4·—
	»On«, z ilustr. A. Piotrowskiego . .	1·50
	Poezye wybrane, broszur.	15·—
	» » oprawne	20·—
	Romans panny Opolskiej (w druku) .	—·—
	Tryumf, Nowele	4·—
	W czas wojny, Nowele	4·—
Tetmajer Wł.:	Bóg się rodzi, oprawne	6·—
	Marsz Skrzyneckiego	4·50
	Opowieść z dawnych lat	2·50
	Racławice, Powieść	3·—
	Silva rerum	6·—